

Weronika Murek

Uprawa roślin południowych metodą Miczurina



Weronika Murek

Uprawa roślin południowych
metodą Miczurina



Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Projekt okładki Iwona Chmielewska
Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl

Copyright © by Weronika Murek, 2015

Redakcja Magdalena Budzińska
Korekta Renata Arkuszewska / d2d.pl, Zuzanna Szatanik / d2d.pl
Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl
Skład Zuzanna Szatanik / d2d.pl

ISBN 978-83-8049-029-1

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Motto

W tył, w dół, w lewo

Organizacja snu w przedszkolu

Alergia na pióra pudrowe

Ołówek, siekierka, kijek

Siwy koń w plamy kare

Trzeci pochówek generała Sikorskiego z uwzględnieniem koca

O prawdopodobnej śmierci polskiego kosmonauty

Kolofon

Rodzicom

Nie możemy czekać na łaskawość przyrody.
Naszym celem jest wziąć sobie ją od niej samemu.

W tył, w dół, w lewo

O tym, że nie żyje, dowiedziała się jako ostatnia. Czasami tak bywa.

Rano wszystko było jeszcze w porządku: żywi mijani na ulicy pozdrawiali ją tak, jakby wciąż do nich należała. Gdy dotarła do pracy, nikt już nie patrzył jej w oczy.

Rzeczy z jej biurka leżały w plastikowym worku.

– No, no – powiedziała szefowej. – Po coście to zebrali? To wszystko nowe jeszcze, niedawno kupione.

Na co tamta odparła:

– Co z tego? Te rzeczy należą do zmarłej, a rzeczy zmarłych się pali.

Śmierć jest, przypadkiem

– Na przykład tegoroczne zbiory – odezwał się mężczyzna, oblizując palce. – Warzywa nie takie, owoce.

– Wisiało w powietrzu – odparł drugi.

– W ustach się pozmieniało może? – powiedział chłopiec, założył ręce za plecami. – Tak jak mnie ostatnio. Myślałem...

– O takich rzeczach się nie myśli – odezwał się ten pierwszy, rozchylił szaszetkę vibovitu, wsadził język do środka i mlasnął. – Albo to się zauważa, albo nie.

– Wisiało w powietrzu – powtórzył drugi.

Przez chwilę w milczeniu spoglądał na chłopca, potem spytał:

– Ten chleb komu wiesziesz?

Chłopiec wymienił nazwisko, na co tamten:

– Kto by się spodziewał? Taka porządna rodzina.

Pochylali się w trójkę nad różowym ręczniczkiem, na którym mężczyźni – bardziej dla żartu niż dla zachowania porządku – rozłożyli narzędzia.

Ku niczemu się nie śpieszyli; chłopak zastał ich przed paroma chwilami w atmosferze sjesty: jeden spoczywał wzdłuż ręczniczka, przyglądając się czule narzędziom, drugi w kucki, z twarzą w stronę rzeki, wyjadał vibovit. Wyjaśnili, że czekają na drugą zmianę, bo są „problemy z kolejnością”.

– I nigdy nie wiadomo, od czego zacząć – dodał ten spoczywający na trawie.

Nie uściślił, kto ma przyjść i pomóc. Powiedział:

– Ktoś. – A po chwili: – Któryś z tych, którzy byli tu przed nami.

I chłopiec nie wypytywał więcej. Patrzył na most – na to, co z niego zostało.

Powikłania po burzy nie ustąpiły jeszcze, prąd toczył rzekę to w jedną, to w drugą stronę, zwodził ryby, tak że co rusz wpadały na siebie z okrutnym uporem, rozplływały się potem i znów nabierały prędkości, błyskając i przepadając w ciemnej wodzie: rteć, jasna przerwa, orle kamienie.

– Matka natura – odezwał się ten spoczywający.

– U Różyłłów – powiedział drugi – z trzech jaj cztery kurczaki. Cztery kurczaki, proszę ciebie.

– Szczęściarzowi i byk się ocieli – odparł pierwszy. – Chociaż ja w to nie wierzę. Że woda zawraca, tak. Że burza, most, to wszystko możliwe, tak. Widzę, to wierzę. Ale z tymi kurczakami?

– Mówią, żeby mówić – dodał drugi – chcą zwrócić uwagę. Spytaj ich o to, o tamto: zawsze ci odpowiedzą i zawsze ich historia będzie lepsza niż twoja. Co chcesz usłyszeć, to ci opowiedzą.

– Że kur szczy na przykład – rzekł ten pierwszy wzburzony.

– A most – odezwał się chłopiec – czy to długo zejdzie?

Ten, który wyjadał vibovit, schował saszetkę do kieszeni i odparł:

– Ta.

Milczeli. Chłopak uklonił się i odszedł. Patrzyli za nim rozbawieni: chód miał sztywny, gołębi, noski butów kierował do wewnątrz, na sznurku ciągnął wózek, na wózek chleb – okrągły, brunatny bochen ułożony twarzą do dołu, kołyszający się miarowo, nieustannie. Wydał się im niestosowny, kukułczy.

– Chce wiedzieć, kiedy most gotowy – odezwał się pierwszy z pretensją. – W ustach mu się pozmieniało.

– Dziwnie lezie jakoś – dodał drugi, odwrócił się, spojrzął na zegarek. – No, gdzie są?

Przez chwilę jeszcze dobiegało ich skrzypienie kół: przykre, rudawe dźwięki, potem droga ubita przeszła w drogę usypaną z piasku, wózek grzązł co rusz i co rusz sznurek opadał nieco, odprężał się; chłopak szarpał, chleb kołysał się i obsuwał, ocierając o piach, i trzeba go było podnosić i przesuwać na miejsce.

Porządek ostrych przedmiotów: szlachtowanie

– Jedną żałobę już mam – mówiła siwa kobieta do dziewczyny opartej niedbale o ścianę. – Z tą drugą co zrobić? Kiedy to odpracować?

Tamta spuściła wzrok, wzruszyła ramionami, zaczęła grzebać w kieszeniach.

– Tak może najlepiej – powiedziała tylko.

Usłyszały skrzypienie, odwróciły się zaraz: to chłopiec wiozący chleb zaszedł na podwórze.

– Teraz, kurwa, przychodzisz? – odezwała się ta oparta o ścianę, a druga, ta starsza, ubrana na czarno, wzięła bochen z wózka, przycisnęła go do brzucha i zaplotła na nim ręce, nie dbając, że ubieli sobie suknię mąką.

– Wiele chcesz za niego? – spytała, na co chłopak niedbale:

– Tak ze trzy by może – i dodał: – Most zniszczony zupełnie.

– Przez burzę?

– Ta.

– Zmarła mi córka dziś rano – powiedziała kobieta przepaszająco, skinęła głową w stronę dziewczyny. – Straszne zamieszanie. Drobnych nie mam, bym musiała w kuchni poszukać.

– Poczekam – powiedział chłopak.

– W domu jak idzie?

– Pomąlu.

– Mąż śmierć miał dobrą – odezwała się kobieta nagle, natarczywie. – To podkreśl rodzicom, słyszysz? Tylko ta tutaj. Łazi wszędzie nieprzytomna, zagapiła się, na śmierć spóźniła. Teraz nie chce ciała zobaczyć.

– Bo po co, na co? – zapytała tamta. – A bo mi to wróci życie?

– Poczekasz? – upewniła się matka. – Ja zaraz wrócę.

Chłopak skinął głową, szarpnął mocniej za wózek, uśmiechnął się do dziewczyny, ale odwróciła wzrok. Trudno było ocenić, ile ma lat: nie nosiła wieku na sobie, rysy miała rozmyte, ukradkowe, a skórę białą, jak wymytą ługiem. Tylko na skroni widać było okrągłą, bordową plamę, oparzelinę jakby, ale ładnie zagojoną; w jego stronach nazywano takie ślady diablím

mięsem.

– Czemuś chleb tak przywiózł? – spytała. – Do góry nogami.

– Matka moja pakowała – odpowiedział, pomyślał zaś: „A jednak nic nie wie”. – Ta rana na głowie...

– Od dziecka mam – odparła tamta prędko. – To nie było przyczyną. – Potem zaś, jakby się reflektując: – Nie było przyczyny. Ja żyję przecież jeszcze.

– To dobrze – powiedział chłopiec.

Milczeli.

– Ten most – zaczął, od razu przerwała:

– Kogo to obchodzi.

Skrzypnęła furka: na podwórze wszedł mężczyzna w beżowym lnianym fartuchu, na który narzucił sportową kurtkę. W ręku trzymał poprzecieraną reklamówkę.

– Z toaletą – rzekł szczególnym tonem.

Głos miał wysoki, połyskliwy i słyhać było, że wypowiada się z przyjemnością. Rzucił krótkie spojrzenie na dziewczynę.

– Czy jest w domu żyw ktoś?

– Matka zaraz wróci – powiedziała dziewczyna wrogo, umilkła. Po chwili dodała: – A mówiąc nawiasem: ja też jestem żywa.

Mężczyzna wzruszył ramionami, odstawił reklamówkę: zadzwoniło szkło.

– Ty kto? – spytał chłopaka, spoglądając na wózek.

– Chleb przywiozłem.

– Chleb?

– My teraz zamawiamy chleb w chłodni – powiedziała matka, stając w progu. – Ten z piekarni już nie na nasze gardła. Jesienią mąż, teraz córka, uwierzy pan?

– W której chłodni? – spytał tamten.

– Jest w środku ciało – odparła kobieta nieuważnie. – Nie chce córka zobaczyć. Nie zidentyfikowała się jeszcze.

– Chyba czas najwyższy – powiedział mężczyzna.

– Idź, idź i spojrzysz tylko. Nie bądź dzikus – odezwała się kobieta.

– Mnie się nie chce teraz – odpowiedziała dziewczyna. – Może później.

– Tylko żeby mi to było to ciało, co trzeba – powiedział mężczyzna. – Żeby się nie okazało potem, że inne mam myć. Mnie od liczby nie płacą.

Wszedł do domu, za nim podreptała matka, za nią chłopiec.

– Na wprost, na wprost – zawołała kobieta, domykając drzwi na korytarzu. – Nigdzie nieposprzątane, ale wszystko tak szybko, szybko...

Na stole w dużym pokoju ułożono ciało. Było nagie i chłopiec spuścił szybko wzrok; o tym, że było martwe, nie myślał, u nich w domu dotychczas się nie umierało – to nagość przerażała go najbardziej. Trzy nogi stołowe stały w miskach, jedna w doniczce; do naczyń nalano wody, żeby odciąć dostęp mrówkom, które już zaczynały gromadzić się w pokoju: czarne strzępy na jasnej posadzce. Matka uniosła nieco sukienkę i deptała je metodycznie, bez zapachu.

– Do słodkiego idą – powiedziała.

Toaletnik zdjął kurtkę, podszedł bliżej. Przez chwilę przyglądał się ciału bez wielkiego zainteresowania, potem zwrócił twarz w kierunku matki, rzekł:

– Ze trzydzieści może.

– Dwadzieścia osiem – odparła tamta czujnie.

Zbliżył się jeszcze, uniósł zmarłej powiekę, w policzek zapukał dwa razy. Odpowiedziały mu dwa okrągłe, szare dźwięki: dwa krążki dymu puszczonego z fajeczki. Nasłuchiwał znudzony.

– Nie ma niczego w środku już – powiedział w końcu, odwrócił się, podszedł do okna, otworzył i przez chwilę spoglądał, porównywał.

Dziewczyna wciąż stała oparta o ścianę, paliła papierosa, zauważyła spojrzenie toaletnika i odwróciła głowę.

– Una – orzekł, zamknął okno i zabrał się do oporządzania ciała.

Oskrobał je nieco zgodnie z kierunkiem włosa.

– Nie dlatego, że trzeba – wytłumaczył od razu – lecz dlatego, że lubię ten dźwięk, po prostu.

Potem wyciągnął złoty nożyk, rozciął skórę na mostku, rozchylił klatkę piersiową i zaczął ją drażnić, rozgarniał coś w środku: wyczuł jeszcze wyraźnie garb ciepłego powietrza, obcą narośl na różanym płacie tłuszczu, pulsującą lekko, a niepotrzebnie już. (Zamknął w dłoni i zdusił. „Proszę spojrzeć – powiedział – jakie to serce małe”). Do obmywania nie przykładał

wagi, lubił tylko plądrowanie i czasami, drążąc, zapominał się zupełnie: wtedy ciało krzywo, na oślep. Jeśli gdzieś jeszcze ostało się życie, pulsowanie, bieg krwi skądś dokądś – płoszył wszystko, wymiatał (taki był wówczas porządek ostrych przedmiotów: szlachtowanie).

– No, już koniec prawie – powiedział wreszcie. – Jeszcze tylko gdyby lodu.

– Lodu? – spytała matka, otworzyła okno, zawołała: – Chodź, chodź, ten pan już skończył.

– No, by ją lodem może – odparł tamten, otarł pot chusteczką, na cztery złożył. – Dłużej wytrzyma. Nie ma lodu w domu?

– Już można – zawołała tamta znowu, odwróciła się do mężczyzny, przemyśliwała krótko. – A wie pan, że jest chyba. Coś się znajdzie.

Zrobiła kilka kroków w kierunku drzwi i znów się zatrzymała.

– Ono nie będzie tu długo stało. Goście przecież przyjdą, a nie wypada ich do kuchni...

– No, no – odparł – wiadomo. Trochę tylko tego lodu, żeby do pogrzebu wytrzymało.

Odsunął się od ciała; oglądał z oddali, z rękami na biodrach.

– Dobrze wyszło, nie? – zwrócił się do chłopca. – Co powiesz?

– Lepiej jej.

– Szyje – powiedział toaletnik – lubię szczególnie. Na nich się skupiam. Jeśli się uda zachować szyję w stanie nietkniętym, dobra nasza. Po szyi najłatwiej poznać fuszerkę.

Zbliżyli się do ciała i objaśniał, wskazując.

– Więcej lodu teraz nie mam – powiedziała matka, postawiła na stole wiadro. – Bym wodę grzać musiała, potem studzić, kroić.

– Tyle starczy już – rzekł tamten. – To przecież i tak tylko w brzuch.

Rozchylił znowu klatkę piersiową, otwierała się podług żeber: jak drzwiczki. Napchał lodu, z reklamówki wyciągnął butelkę wódki, włożył do środka, zamknął.

– Niech się chłodzi – powiedział – na wieczór będzie jak znalazł.

Potem zebrał narzędzia, ręce wytarł w spodnie.

– No, czy dobrze wygląda? Istnieje zawsze możliwość wykonania

bardziej.

– Ja wiem... – odparła matka. – Nie trza chyba. Taka mi się widzi. Lepiej wygląda jak wtedy, kiedy żyła.

– A ubrać można według swojego gustu już – rzekł i pożegnał się skinieniem głowy. – Rąk – powiedział jeszcze – nie podaję.

– A ty, synek – odezwała się matka do małego – ty cały czas tu? Już zapomniałam.

– Nie ma pośpiechu – odparł chłopiec.

– Nie ma, nie ma, nie? – zagadnął toaletnik. – Nie trzeba się śpieszyć. Dzień jest taki piękny, można się przejść, można gołą kobitkę obejrzeć.

Wyciągnął rękę ku chłopcu i chciał go pogłaskać, ale tamten szybko odskoczył.

Delikatna wyprawka, niedosyt

Stanęła na palcach, zajrzała przez okno.

W środku nie było nikogo. Ciało, już ubrane, ułożono w trumnie, zapalono gromnicę. Twarzy nie mogła dostrzec, ale za to rozpoznała od razu swój stary sweter: czerwony, rozciągnięty, noszony chętnie, ale nigdy na ważne okazje.

– Ja pierdolę – powiedziała sobie, opadając na pięty. – W swetrze mnie chowają.

Wyciągnęła papierosa, odpaliła, podciągnęła się znowu.

Robią to, pomyślała, bo chcą okazać brak szacunku, to jasne. Nie ma w nich ani trochę zrozumienia dla spraw śmierci, spraw ducha. Nie mówię o sobie – dodała zaraz – nie myślę o sobie, tylko o tej, co tam spoczywa w tym moim brzydkim swetrze. Bo ja żyję przecież jeszcze. Wypalę tylko i wejdę. Wejdę, pochylę się nad ciałem, powiem: „To nie ja”. „Owszem – powiem łaskawie – podobna, ale to nie ja. Ja jestem jeszcze, istnieję. Żeście oszaleli. Żywego chowacie”.

Matka szła przez podwórko z chlebem przyciśniętym do brzucha.

– Skroić by go może, co? – powiedziała. – Mają przyjść sąsiedzi.

– Ładnie, ładnie – odparła Maria, znów opadła na pięty. – W swetrze mnie chowacie.

– W jakim swetrze? – spytała matka, ułożyła bochen na stole w ogrodzie, twarzą wciąż do dołu, to znaczy: mączną stroną do góry.

– W czerwonym tym. Tym z kieszonką tu.

Stara uniosła twarz, zmrużyła oczy, jakby coś sobie przypomniała, wreszcie rzekła:

– Ano bo wszystko nam się zdało za bardzo eleganckie. Szkoda takie rzeczy ziemi oddawać. A bo to ziemia doceni?

– Ale jak to wygląda? – powiedziała Maria, łzy napłynęły jej do oczu.

– A śmierć twoja jak wygląda? – zapytała matka, zrobiła znak krzyża na chlebie.

Spróbowała ukroić pajdę, ale nóż raz po raz się osuwał. Próbowała, dociskając chleb do biodra, nie udało się.

– No nie mogę – powiedziała – nie mogę. – I zwracając się do Marii: – Chodź tu, pomożesz połamać.

Rozerwały bochen, chrupnęło: wyrzął szary miękisz podobny do gąbki.

– Przyjdzie wuj i cioteczka. Nagotuję wrzątku. – Po chwili, zerkając na Marię: – Aż do nich musiałam dzwonić, prosić. Nikt inny nie chciał przyjść płakać po tobie. Dzwoniłam do Majeczki, do Tomka, mówiłam: „Przyjdźcie, przyjdźcie, nie żyje Maria”, na co oni: „Ach? Czy naprawdę?”. Ale nic potem. Dzwoniłam do Kasi, do Roberta, do Pszonków dzwoniłam: przyjdź przyjdą, na pogrzeb, ale płakać nie chcą.

Milczały.

– Po co komu głowę zawracać? – spytała Maria. – Nie chcą, to nie chcą.

Usłyszały chrupanie na ścieżce, umilkły. Nadchodziła sąsiadka z naprzeciwka.

– To tylko ja – powiedziała pani Różyło, ciągnęła za sobą córeczkę. – O mąkę się rozchodzi, Janeczko.

Po chwili dodała:

– Coś nie w porę chyba?

– Zmarła mi córka dziś rano – powiedziała matka. – Straszne zamieszanie. Ile chcesz tej mąki?

– Szklankę tylko – odparła tamta, spoglądając na Marię uważnie. – Ale fest czubata. – A do córki: – Teraz, Kasieńko, nie patrz. To nie są sprawy dla dzieci. Ta pani – dodała – była bardzo niegrzeczna. Zrobiła coś bardzo złego.

– Dużo chcesz tej mąki? – spytała matka, na co Różyło, siadając przy stole:

– No, mówiłam: ze szklankę tak. Na pierogi.

– Pierogi – powiedziała matka – a z czym te pierogi?

I nie czekając na odpowiedź, poszła w stronę domu. Różyło przyciągnęła do siebie córkę i usadowiła ją sobie na kolanach, przeczesła jej palcami włosy.

– Czesać, czesać – powiedziała – trzeba cię, dziecko, uczesać.

Po czym dodała, patrząc na Marię:

– Kiedy dzieci są małe, można je czesać. Czesać i czesać. Potem rosną i już nie można tego robić.

Maria wzruszyła ramionami, urwała nieco miękiszu chleba, ugniotła.

– Potem już nie można ich czesać i właściwie nie wiadomo, co z nimi zrobić – powiedziała pani Różyło. – Ale pani to chyba nie obchodzi, pani już nie będzie mieć dzieci.

– Nawet gdybym żyła – odparła Maria, urwała gwałtownie, przez chwilę milczała. – Chlebowe gałeczki – odezwała się w końcu – czy zna to pani?

– Co proszę?

– Zginął gdzieś ten mały od chleba – powiedziała matka, stając w progu domu. – Miałam mu zapłacić, kręcił się tu ciągle, a teraz wołałam i nie ma.

– To taka zabawa – powiedziała Maria – gra taka.

Objasniała: z miękiszu chleba trzeba ukłęcić kuleczkę, która ma przedstawiać kogoś, kogo wszyscy znamy, należy zachować najwyższe podobieństwo, a reszta powinna odgadnąć – tak prędko, jak się da.

– Jak pani nie wstyd? – odezwała się Różyło. – Pani przecież nie żyje.

Po chwili dodała, przyciskając córkę do siebie:

– Nie jest pani pierwszą osobą zmarłą, którą znam, ale z pewnością najbardziej bezczelną.

Sięgnęła jednak po kawałek chleba, ukłęciła kulkę.

– Mój brat Witek na przykład to wszedł w sen i został. Wszedł w sen i został! Przez trzy dni przed śmiercią śniło mu się to samo: był w małym, jasnym pokoju, pustym prawie, tylko mały stolik przysunięty do okna, a na stoliku kubek z niedopitym mlekiem. Wsadzał palec: mleko ciepłe jeszcze. Siadał przy stole i czekał, bo wiedział, że ktokolwiek opuścił pokój, opuścił go niedawno i pewnie jeszcze wróci.

– I wrócił? – spytała matka.

Postawiła szklanę mąki na stole, dosiadła się i uszczknęła chleba.

– Martwi mnie ten mały. Nie lubię z niczym zalegać.

– Trzy noce – powiedziała Różyło. – Trzy noce, Janeczko. Ostatniej: pukanie, Witek otwiera, a tu dziecko na progu. „Czy jest – pyta – Dagmara?”

– Dagmara? – spytała matka. – Jaka Dagmara?

– Pomylił sny! – powiedziała Różyło. – Powiedział mi to w dniu pogrzebu. Przyśnił mi się w nocy, powiedział: „Pomyliłem wtedy sny i zasiadałem we śnie kogoś innego. To, co zdarzyło się mnie, może się

zdarzyć każdemu. Zniknęły okna i drzwi i już nie mogłem się wydostać”. Spytałam, jak jest tam, po śmierci, odparł: „Niewyobrażalna samotność”, to znaczy: nie najgorzej.

Odwróciła się do Marii, dodała:

– I takie świętych obcowanie rozumiem, a nie, żeby kręcić kulki.

– Nie chciała się nawet zidentyfikować – powiedziała matka. – Nie obejrzała ciała. Był pan z toaletą, odwróciła się plecami.

– Jak pani nie zobaczy ciała, to nigdy do pani ta śmierć nie dotrze – odparła Różyłło, spłaszczyła swoją gałeczkę. – Należy się pogodzić.

– Zaraz pójdę – powiedziała Maria – wielkie mi coś: rzucić okiem. To chwilę zajmie, na razie nie mam czasu.

– Ona nie ma czasu! – odezwała się Różyłło. – Ona nie ma czasu!

Po chwili, zwracając się do Marii:

– Ależ tak, właściwie do czego ma się pani śpieszyć? Do domu, do rodziny, do kaszy w garnku? – urwała, czerwona. – Pani wie, ja zazdroszczę czasem wam, umarłym. A tak, Janeczko, zazdroszczę. Pani już na niczym nie zależy, pani już nie jest śpieszno, ma pani święty spokój.

– Jak taka pani zazdrosna, to proszę się zamienić – powiedziała Maria.

– Nie chcę – odparła tamta, opuszczając wzrok. – Na co mi to? Mam tu obowiązki.

Milczały.

Od strony lasu nikt dzisiaj nie przyjdzie, pomyślała Maria. Nikt dzisiaj nie przyjdzie, po cóż miałyby? I jeśli list jakiś miałyby przyjść, to też: nie dziś. Najprędzej w środę.

– Duża cudowność nam się ostatnio zdarzyła – powiedziała Różyłło, przytuliła córkę. – No nie, Kasieńka? Z trzech jaj cztery kurczęta.

– Cztery kurczęta – powtórzyła Kasieńka, drążąc rączką w chlebie.

– Że dwa w jednym były? – spytała matka, na co Różyłło:

– A bo to wiadomo?

– Nie ma sprawiedliwości – rzekła matka głucho. – U nas się dziecko straciło, a u was życia a życia, aż kury za nim nie mogą nadażyć.

Milczały.

– To – odezwała się Różyłło po chwili – to kto?

Gałkę chleba ukłęciła na kształt walca, na górze paznokciem wygniotła coś na kształt twarzy: nos sterczący i rozchylone wargi.

– Bronek może.

– E, Bronek.

– Mamusia, a może i ja bym się zabiła? – odezwała się Kasieńka.

– Ja się nie zabiłam – odparła Maria – to był tragiczny wypadek.

– Wypadek! – powtórzyła Różyło; matka usadziła swoją chlebową kuleczkę na stole.

– Zresztą, ja żyję jeszcze – dodała Maria, na co matka:

– Zgadujmy.

– Małe, niepewne – powiedziała Różyło. – Rozchybotane jakby w dodatku.

– Ja wiem – odparła Maria – to ten mały od chleba. On też się tak garbi.

– No – powiedziała matka. – To on.

– Głupia gra – odezwała się Różyło. – To miał być ktoś, kogo wszyscy znamy.

– Był tu przed chwilą – wyjaśniła matka. – Od niego ten chleb.

– Od niego? – spytała sąsiadka.

– No, z chłodni – powiedziała matka. – To synek ich.

– Oni nie mają synka – odparła Różyło.

– Był tutaj ktoś od nich – powiedziała matka, patrząc przed siebie, na co Różyło:

– Przecie most zwalony.

Boży kciuk i szwedzkie zapalki

– O, pali się. Widzisz, jak się pali? Tu, przez ten otwór mały...

– No, już, już – powiedział mężczyzna. – Wystarczy. Dość żeście widziały.

– Da pan spokój – odparła kobieta. – To tylko dziecko przecież, chce sobie popatrzeć.

– Ja wiem – rzekł tamten, mocując się z pogrzebaczem. – Wy zawsze chcecie tylko popatrzeć, a lezicie bliżej i bliżej.

– Nic w tym złego – odparła kobieta. – Z daleka to nie to samo, wie pan przecież.

– Nie wiem – powiedział. – Skąd mam wiedzieć? Wiem tylko tyle, ile muszę: że nie można dopuszczać was bliżej.

– Nie ma pan dzieci? – spytała. – Nie pokazuje im świata?

– Mam – odparł, rozgarnął szufelką kasztany rozłożone na blasze. – Mam, co z tego? One też wiedzą tyle tylko, ile muszą.

– To nie podniesie pan?

– Nie – odparł. – I proszę już iść, naprawdę.

Schylił się i sięgnął do plastikowej reklamówki z wizerunkiem pogodnej dziewczyny dumnie prezentującej siną sztukę mięsa nabitą na widelec. „Luminal, podobno” mówił napis pod spodem.

– Kiedy bym chciała kasztanów – odezwała się kobieta uparcie. – Słyszysz pan? Jeśli nie popatrzeć, to chociaż bym zjadła.

– Zjadła! – powtórzył, nie podnosząc głowy. – A pieniądze ma?

Rozwinął reklamówkę: wyjrzała brązowa foliówka i mały, srebrny termos tkwiący w niej niczym łuska w kryzie. Wyciągnął go powoli i próbował odkręcić, ale przy każdym obrocie nakrętka wydobywała z siebie krótki, suchy stęk, nie chciała odpuścić.

– Trzeba może docisnąć – powiedziała kobieta, sprzedawca podniósł głowę, ale nie spojrzał na nią. – Dociskać, dociskać. Za życia mieliśmy taki sam.

– Co wy tam wiecie – odparł, przekręcił jeszcze kilka razy i nacisnął, na

próżno. – Można by nożem podważyć – powiedział w końcu, prostując się.

Kobiet już nie było, rozejrzał się za nimi i dostrzegł, że siedzą teraz na ławce po drugiej stronie ulicy i patrząc na niego, mówią coś do siebie. Starsza trzymała w ręku rozek pełen kasztanów. Otworzył usta i zamknął je zaraz; nisko nad blachą zaczął się zbierać dym: najpierw kładł się zupełnie płasko, niczym mgła nad wilgotną trawą, potem zaś, jakby od haustu powietrza, zbijał się w gęsty garb.

A to, pomyślał, co znowu?

Kucnął i uchylił zasuwkę wyciętą pośrodku żelaznej beczki. Uderzył go zaraz tłusty dym o dziwacznym zapachu: mroźne powietrze, amoniak, wysokie wody cholery.

– Zwarzyły – powiedział, rozejrzał się za pogrzebaczem i wyprostował na chwilę, zauważył kolejną klientkę. – Ścięły mi ogień zupełnie, widziała pani? Musiałem nie zauważyć, człowiek odwróci się tylko na moment i starczy. Pięć jak zawsze? Ale teraz nie dam. Sama pani widzi, zwarzone...

– No, no – odparła Maria – ale ja nie w tej sprawie. Przyjechałam, bo ponoć zmarł ktoś tu niedawno. Nie wie pan nic o tym?

– Nie – powiedział. – Ale ja tu wszystkich nie znam, wie pani. Mnie ludzie takich spraw nie przynoszą.

– Zmarł ktoś podobno – ciągnęła uparcie – w naszej kamienicy. Jakaś młoda kobita. Proszę chwilę pomyśleć.

– Nie chcę – odparł, odciągnął okrągłą blachę i odwrócił się, żeby ją odłożyć i odsypać kasztany; ledwo odszedł na krok, a z beczki wychyliła się biała głowa dymu ciągnąca za sobą prosty, zwarty ogon, jakby utoczony przez maszynkę do mięsa, napędzaną obrotami niewidzialnej korbki.

– Po co? Zacząć myśleć i cały dzień zmarnowany.

– Pan tu ciągle stoi, przy tym swoim piecyku – powiedziała – musi pan chyba coś czasem widzieć, nie?

– Bez przerwy – odparł – bez przerwy ktoś tędy przechodzi. Tyle pani wystarczy?

– Nie – odpowiedziała.

Nie patrząc na nią, wzruszył ramionami; chciała coś dodać, zapatrzyła się na dym, zapomniała, co to miało być.

Pod wpływem ciepła pamięć zaczęła tajać: oddała golibrodę i zakład fryzjerski, beżowe szyby witryny, mistrza żelazek palącego papierosa na stromych schodkach pod szyldem „Zakład fryzjerski: mistrzowie żelazek”. Oddała okrągły worek wypełniony włosami, jego płaski, obwiązany ściśle koniuszek, odcinający się od brunatnej obłości niczym piętka cebuli. Oddała kobietę wystającą zwykle na rogu ulicy, z tacą zawieszoną u szyi, sprzedającą baterie o różnych kształtach i rozmiarach, rozłożone obok siebie niczym bryły nugatu. Oddała sąsiada wracającego jak zwykle o tej porze ze spaceru z psem, powoli, niemrawo, utykających zgodnie i w podobnym rytmie. Maria pomyślała o swojej ostatniej podróży do miasta, o pośpiesznej rozmowie z kobietą sprząającą klatkę, o tym, jak przy wyciągnięciu kluczy wyslizgnęła jej się dwuzłotówka i zatoczyła półokrąg w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Pomyślała wreszcie o swojej ostatniej wizycie w mieszkaniu i uderzyło ją, że myśli o tamtym powrocie jak o odwiedzinach, jakby była już obca i wracała w miejsce, które jej się nie należy – a przecież wtedy, tego być może ostatniego razu, nie szła wcale z wizytą, lecz wracała do siebie.

To wszystko trwało tylko chwilę: im bardziej odchodziła od rozgrzanej beczki piecyka z kasztanami, tym mniej wyraźne stawały się jej myśli i wspomnienia, jakby naraz zstępowały znowu w głąb wrzącej, mocno osolonej wody.

Już tylko tak i już zawsze tyle, pomyślała, przechodząc na drugą stronę ulicy, zajrzała do skrzynki pocztowej, nie pisał nikt. Jeśli to prawda, powiedziała sobie, to, co mówią ludzie, to już tak dalej będzie i trzeba zacząć się z tym godzić: kolejne, coraz bardziej przezroczyście momenty przesuwające się lekko po obręczy godzin właściwie już po nic, ku górnym dniom, tygodniom, napędzane odruchem, ciężarem przyzwyczajenia, niczym innym – tak już będzie.

– Tam proszę nie wchodzić – usłyszała za sobą.

Drzwi do mieszkania były otwarte na oścież, wokoło roznosił się zapach ścierek i cytrynowych detergentów.

– To jest miejsce zgonu, dopiero co zmyłam. Wszystko mokre jeszcze.

– Nie, nie – odparła Maria – ja nie wchodzę, tylko tak sobie zaglądam.

Urwała na moment.

– To moje mieszkanie, wie pani? Zdejmę może buty i tak w samych skarpetkach.

Schyliła się, zaczęła rozwiązywać sznurowadła.

– Od pani dzwonił?

– Co?

Przydepnęła piętę buta i wysunęła z niego stopę, a potem odkopnęła go kawałek pod ścianę i pochyliła się znowu.

– Po dezynfekcję – powiedziała tamta.

– Nie – odparła Maria – ode mnie nikt nie dzwonił.

– Dzwonili pewnie, tylko pani nic nie wie. Trzeba swoich spraw pilnować, wie pani. Ja teraz z wodą idę, a pani niech nie wchodzi. Słyszysz pani? Musi pani poczekać, trudno. Wlezie pani teraz i potem zacieki. Chwilę trzeba czekać.

– No już, dobrze, dobrze – powiedziała Maria. – Parę chwil w tę czy w tamtą.

Kobieta odeszła powoli. Zanim zniknęła za zakrętem schodów, odwróciła się jeszcze i rzuciła nieufne spojrzenie.

Tak szybko, pomyślała Maria, tak szybko ta dezynfekcja, jakby zacieranie śladów.

Nagle ogarnęła ją złość, mocna i krótka jakby pęknięcie powietrza uderzający do głowy. Włożyła buty, zawiązała je starannie i z wielką satysfakcją, a potem weszła do mieszkania. Ściągnięto firanki i zasłony i nagle mieszkanie zdało się o wiele przestronniejsze, niż pamiętała. W dużym pokoju wersalkę przesunięto pod ścianę i zarzucono foliowymi workami, opróżniono szafę, a książki zdjęto z półek na podłogę.

– No – powiedziała kobieta, stając w drzwiach tuż za nią – jednak wlaźła pani, są ślady.

– Niech sobie będą – odparła Maria. – To nie koniec świata.

Podeszła do wersalki i zajrzała do jednego z worków.

– Moje rzeczy – powiedziała – zielona sukienka. Chyba nie macie prawa?

– Dezynfekcja – powiedziała kobieta. – Musi być dezynfekcja.

Po chwili:

- Trza by okna otworzyć może, będzie przeciąg, to szybciej obeschnie.
- Dezynfekcja – powtórzyła Maria – przecież czysto żyłam.
- Pójdzie na sprzedaż mieszkanie – odparła kobieta.

Podeszła do okna, otworzyła jedno, potem drugie. Teraz w jasnym pokoju wydała się Marii młodsza – twarz wprawdzie miała pomarszczoną, ale włosy zaskakująco gęste i grube, błyszczące, zebrane z tyłu w luźny koczek. Od linii czoła aż po kulę włosów nad karkiem przeciągnęła cienki dobierany warkoczyk odcinający się od gładkiej, lśniącej kopuły niczym świeża, skośnie zszyta blizna.

Sięgnęła do półokrągłej kieszonki, wyciągnęła z niej karteczkę, złożyła kilka razy i zwinnie podłożyła ją pod framugę.

– To nie ma znaczenia, czy kto czysto żył czy nie, proszę pani. Idzie na sprzedaż mieszkanie i musi być dezynfekcja, to są normalne sprawy. Przepisy na to są.

– Ale niech pani zobaczy, ja żyję przecież jeszcze.

– Aha – odparła tamta bez zainteresowania, podeszła do worków i zaczęła je związywać. – To dobrze. Mnie przecież nie trzeba się tłumaczyć, wie pani. No, po co by? Jest pani dorosła, miała pani ochotę. Nie ma się czego wstydzić.

Na biurku leżały rozrzucone kartki. Maria pośpiesznie je przejrzała: ktoś dostał się do jej skrzynki mailowej, wydrukował listy, a potem przeczytał, podkreślając wężykiem intymniejsze fragmenty. Ktoś znalazł także jej pamiętnik i zostawił go otwartego na zapiskach z marca 2000 roku. Ktoś wpisał w poprzek strony różowym flamastrem hasło do jej konta i numer PESEL.

– Ktoś włamał mi się do skrzynki – powiedziała Maria. – Ktoś czytał moje zapiski.

– Myśleli może, że co ciekawego znajdą – odparła kobieta, pochyliła się i zaczęła pakować książki do pudełka; w rytm jej ruchów przesuwała się po włosach złota pręga światła.

Tuż obok kartek i zeszytu leżała wielobarwna zmiotka do kurzu, obok niej zaś pozostawiono butelkę zielonego preparatu i Maria, żeby zebrać myśli i żeby nie musieć odpowiadać, sięgnęła po nią i udała, że czyta etykietę:

„Dzięki nam – zapewniano – wilgotne piwnice i mieszkania znów stają się suche”.

Co za życie, pomyślała, czując nagłą złość, tak wstawać codziennie i zaplatać warkoczyk. Wstawać wcześniej, żeby zdążyć spokojnie zapleść warkocz i pleść go starannie, choćby resztę dnia miało się prowadzić małe życie, pochylać nad wiadrem, używać preparatów, dzięki którym wilgotne mieszkania znów stają się suche, i ponad wszystko godzić się z tym, że nikt raczej nie zwróci uwagi, a jeśli zwróci, to przejdzie zaraz do porządku nad tym niecodziennym zbytkiem warkoczyka, otrząśnie się z krótkiej chwili przetraconej na próżno. I nie przejmuje się niczym, myślała dalej ze złością, wstaje rano i zaplata warkoczyk; budzi ją ta staranność, której ona, Maria, nie miała, wierność kobiecej czujności. I gdyby Maria żyła podobnie lub tak samo, nie umarłaby może, a jeśli już, to nie teraz i nie tak, tylko o dogodniejszej porze i lepiej.

Rozległy się kroki na schodach, skrzypnęła podłoga: słyhać było, że ktokolwiek przyszedł, zatrzymał się przed progiem i teraz ściąga buty. To trwało chwilę; do pokoju wszedł starszy mężczyzna, niosąc garnek owinięty ręcznikiem.

– Obiadek – powiedział. – Jeszcze ciepła zupa.

– Dobrze – odparła kobieta. – Przyszła ta pani od śmierci.

– Bo to moje mieszkanie – odpowiedziała Maria. – Bo ja żyję jeszcze.

– Aha – rzekł tamten, stawiając garnek na stole.

Odwinął ręcznik i uniósł pokrywkę.

– To dobrze. Ciepła jeszcze.

– Wszyscy czytali – powiedziała Maria, wskazując na biurko – no nie?

Wyście też czytali?

– No – odparła kobieta – myśmy też czytali. Słyszysz, stary, czytaliśmy, nie?

– Zawsze czytamy – powiedział mężczyzna. – Bo a nuż że co do śmiechu?

– Ale głównie rodzina. Bardziej zainteresowani.

– Myśmy tylko przejrzeni. Już nie ma tyle czasu, trzeba szukać okularów, już się teraz tak nie chce. Ale czasami, dla odmiany. Gdyby tak ciągle tylko pracować, sprzątać puste, kto by to wytrzymał? Mówię, że dla odmiany –

skinął na Marię, dodał: – Widziała pani łóżko? Jaka ciemna plama? I jak tu sobie z tym poradzić, czym to domyć?

Urwał, zwrócił się do kobiety:

– Jedz, jedz, kochana, zaraz zimne będzie.

– No jak to? – spytała Maria. – Mówili, że w wannie.

– Nie – odparła kobieta. – Nie w wannie. W łóżku, mówili wyraźnie.

– My mamy wytyczne, według nich idziemy – powiedział mężczyzna, przechodząc do małego pokoju. – Coś się posegreguje, coś biednym odda, coś spali.

– Ja to wszystko ze sobą zabiorę – odezwała się Maria, idąc za nim.

– No, ja tam nie wiem, regulamin jest – powiedział. – Widzi pani plamę?

Stała przy łóżku: ściągnięto już z niego pościel i koc, został tylko brązowy materac z ciemną, wąską plamą przypominającą strąk szarańczynu.

– Twarzą do ściany – powiedziała kobieta z sąsiedniego pokoju, miała pełne usta.

– Do okna – odparł on.

– Do ściany.

– Trochę się już takich rzeczy człowiek naoglądał – powiedział. – To niesłychane, jak bardzo ludzie umierają.

– Ale ja nie chcę – odparła Maria, cofnęła się o dwa kroki. – Nie chcę przecież, no nie chcę.

– Chodź, chodź – zawołała kobieta. – Zjemy może razem.

– Czego pani nie chce? – spytał on. – Podjęła pani decyzję, to trza teraz pchać.

– Ale ja żyję jeszcze przecież.

– Chodź, póki ciepłe – zawołała kobieta. – O, jest sztukamięś. Nie ma pani noża?

– Ja się nie zabiłam, to był wypadek. Poza tym żyję jeszcze.

Wyminęła go i wyszła z pokoju. Kobieta odsunęła szczotki i siedziała teraz na wersalce z garnkiem na kolanach.

– Nie ma pani noża?

– Ktoś tu był poza wami? – spytała Maria, podchodząc do biurka; w złości zrzucała papiery na podłogę.

– Nie – odparła kobieta. – To nie ma pani?

Wystawiła trójkątny język i oblizała mięso kilka razy krótkimi, zwierzęcymi ruchami.

– Tylko my, od samego początku.

– To dobrze – odparła Maria i sięgnęła po dużą, odpieczętowaną kopertę zaadresowaną na jej nazwisko, rozpoznała charakter pisma.

Przesyłał krótki, suchy list i załączał szwedzkiego konika owiniętego w kulkę zmiętych gazet. Pisał: „Dobrze nas tu karmią, bardzo o nas dbają; dzień zaczynamy rano, a kończymy wieczorem, tak jak przykazano. Tutejsi sąsiedzi to pewien krok naprzód: używają prądu, wody i wiedzą, co zrobić, jeśli któregoś dnia przyjdzie im wejść po schodach – piszę Ci o tym, żeby podkreślić: nie wracam, przez jakiś czas zostanę tu na zawsze, załączam prezencik i gazety. Zobacz sobie na własne oczy, jak naprawdę wygląda język szwedzki”.

– Kiedy to przyszło? – spytała Maria, odwróciła kopertę: stempel wbito tak, że nie dało się odczytać daty.

– Ja wiem? – odparła kobieta. – Kiedy my przyszli, już było. Co nie, stary? Było, kiedy my przyszli.

Nie patrzyła już na nich, tylko sięgnęła po słuchawkę, wystukała numer. Przez chwilę dźwięk był punktowy, czerwony, potem się wydłużył.

– No – powiedziała i umilkła, jakby czegoś nasłuchując.

Nic, pomyślała, nie czuję już nic.

– Dzwonię, bo dostałam paczkę, znaczy list.

– W porządku – odparł. – Przecież już dziękowałaś. Już ci mówiłem: za darmo dostaję. Nie ma co z tym robić, trochę się rozsyła. Nie macie w kraju takich gazet, nie?

– Doszło to już do ciebie?

– List twój?

– Nie – odparła – ta wiadomość straszna.

– Nie, nic nie wiem. Nie mam czasu, nie czytam.

– Podobno, że zmarłam – powiedziała Maria. – Wróciłam po przerwie do pracy i nikt nie patrzył mi w oczy. Przyjechałam do domu, a tu matka się dorwała do jakiegoś ciała, trzyma w pokoju, obmywacza zamówiła. Twierdzą

wszyscy, że moje. Każą mi oglądać, gapią się tak strasznie. Napuściła ludzi.

– Aha – odparł – o to ci chodzi.

Milczał przez chwilę, jakby czekając, aż ona coś powie.

– No, bo w pierwszej chwili nie skojarzyłem. Nie ma człowiek pamięci do tych wszystkich szczegółów. No, nie może mieć, nie? Bo gdyby tak wszystko pamiętać, o wszystkim myśleć... – Urwał. – No, koniec końców nie można się dziwić, nie? To znaczy ja nie o śmierci mówię, tylko o nich. Nie można się im dziwić, nie? Nikt przecież nie lubi zmarłych.

– Wszyscyście wiedzieli – powiedziała Maria.

– Ja się dowiedziałem jak i ty, po fakcie. No, ale teraz już wszystko jakby skończone, nie? Bo i co robić. Jest śmierć i...

– Nie rozumiesz – powiedziała Maria. – Bo ja żyję przecież.

– To dobrze – odparł. – To po co ta sprawa?

– No nie wiem. Nie rozumiem właśnie.

– Sama żeś sobie winna. Teraz siedź i się tłumacz. A ja? O mnie to już nie myślisz, nie? Co ja mam powiedzieć? Im, tym, co dzwonią, znaczy? A dzwonią, nie? Dzwonią cały czas i chcą wiedzieć, czy wiedziałem. Czy się mogłem domyślać. No, a przecież nie mogłem, nie? – Odchrząknął. – No, nic mi nie mówiłaś, nie? Nic mi nie mówiłaś, a teraz dzwonisz, masz pretensje. Nie rozumiesz, mówisz. A ja?

– No, no – odezwała się – myślałby kto. Biedaczek.

– Nic ci nie poradzę.

– Poradzisz – powiedziała – przyjedziesz. Razem ich przekonamy.

– Teraz nie dam rady. Gdybyś może wcześniej...

– Przyjedziesz – powiedziała – pogrzeb jest jutro i chyba wypada.

– No, wypada – przyznał – ale ty żyjesz jeszcze.

– Tak – powiedziała, zaczerwieniła się. – Ale pogrzeb tego ciała, co je w domu mamy.

– No, tym mniej nasza sprawa, nie?

– To może ja przyjadę – powiedziała szybko. – Wciąż mogę chodzić. Wciąż noszę przedmioty. Mogę nawet dzwonić, nie przenikam nic.

– Dobra, dobra – powiedział.

Na chwilę zapadła cisza, usłyszała w słuchawce dźwięk zamykanych

drzwi.

– Dobra, dobra – powtórzył. – Ja wczoraj rozmawiałem z twoją matką – urwał – rozmawiałem, czemu by nie? Dzwoniła. Ostatnio ciągle dzwoni, chce się radzić. Raczej mnie lubiła.

– No – odpowiedziała Maria – ciebie lubiła.

– Mówi, że nie ma wątpliwości. To jest twoja matka w końcu, nie? Poznaje chyba. I mówi, że wszyscy widzieli, że wszyscy się zgadzają. Więc chyba jednak, nie? Zresztą kończmy już, bo licznik bije. Ty się tym nie przejmujesz, już nie będziesz płacić, ale komuś to mieszkanie twoje i twoje rachunki przypadną – urwał – no nie? Bo ty już chyba nie będziesz za nic płacić?

– Nie – odparła – chyba żeby koniecznie trzeba.

– Żeby koniecznie trzeba – powtórzył głucho i dodał nagle głośniejszym, jakby zebrał się w sobie: – Nie dzwoń już, nie? I nie przyjeżdżaj. Zacząłem sobie nowe życie, a życie jako życie już nie powinno interesować was, martwych.

Usłyszała dźwięk odkładanej słuchawki, potem krótki, czerwony sygnał.

– Niech się pani nie przejmuje – powiedziała kobieta. – Trzeba dać chłopu czas, żeby przetrwał.

Był sobie ból, pomyślała Maria, był sobie ból, ale zanim: była sobie dziurka od klucza.

– Można zabrać – powiedziała, odkładając słuchawkę – co tam chcecie, zabrać, wszystko.

– Zaraz zabrać! – odparła kobieta, obserwując ją znad garnka. – Bo to wszystko potrzebne? Część rzeczy po prostu się wyciepnie i tyle.

Sprzedawca kasztanów opanował już dym i wokół jego małej, zielonej budki o spiczastym dachu tłoczyło się kilku klientów. Naprzeciwko na ławce siedziały dwie kobiety, jedna z różkiem kasztanów, druga z butelką mleka na kolanach; odwróciły się nagle i spojrzały na Marię, a potem pochyliły ku sobie i coś zaszeptały.

– Czy pani wie, jak prać rękawiczki? – spytała starsza, a kiedy Maria zatrzymała się zdumiona, tamta podniosła rękawiczkę, białą, wełnianą, od spodu na palcach uwalaną sadzą, po czym dodała z wahaniem: – Pani chyba

niedawno zmarła. Buzię jakby kojarzę.

– Nie wiem – powiedziała Maria nieuważnie i podeszła bliżej. – Może. A co?

Uderzyła ją zaraz szczególna szpetota ich twarzy: grymaśne rysy, wypukłe, masywne czoła, zapadłe nosy rozszczepione na końcach oraz potężne, jakby męskie szczęki. Musiały być ze sobą bardzo blisko spokrewnione, bo miało się wrażenie, że twarz młodszej czujnie małpuje rysy starszej, przybiera zniekształcenia tak, jak dziecko dla zabawy stroi się w rzeczy matki.

– Jest jutro o szesnastej podwieczorek zapoznawczy dla zmarłych – powiedziała ta starsza, zwijając rożek z kasztanami i wkładając go do kieszeni płaszcza. – Można przyjść. To nie jest obowiązkowe, ale można.

A druga zagadnęła:

– Czemu pani umarła?

– Nie wiem – odparła, chciała dodać, że przecież żyje jeszcze, ale nie była już pewna. – Staram się nie myśleć, wie pani. To są zbyt świeże sprawy i...

– Nie ciekawi to pani? – spytała tamta, młodsza. – Tak po ludzku całkiem. Mnie by ciekawiło. Pierwsze, co zrobiłam, to poszłam zapytać. Człowiek – dodała – chce chyba wiedzieć takie rzeczy.

– Daj spokój – powiedziała starsza. – Ciebie ciekawiło, ale pani wcale nie musi. Nie wie, to nie wie.

Ale widać było po jej minie, że też nie rozumie.

– No, po co by? Wróci mi to życie? – spytała Maria, na co młodsza, jakby w ogóle nie słysząc złości w jej głosie, odezwała się surowo:

– Nic życia nie wróci, no nie, mama? Życia nic nie wróci.

– Nie – odparła tamta, zmierzyła Marię wzrokiem. – No, to chyba nie wie pani?

– Na co umarłam?

– Nie – odpowiedziała – jak prać rękawiczki.

– A pierzcie, jak chcecie – rzuciła. – Na drugim piętrze w moim dawnym mieszkaniu jest taka pani, która zna się na tym. Dezynfekcja i...

– E – odparła tamta – aż tak to nie.

Maria czekała jeszcze przez moment, czy coś powiedzą, ale zupełnie

straciły zainteresowanie: starsza znowu wyciągnęła kasztany w rożku, a młodsza położyła sobie butelkę mleka na kolanach i turlała ją wte i wewte tak szybko, że tylko błyskała złota nakrętka.

O każdej pełnej godzinie z sąsiedniej ulicy odjeżdżał autobus, który mógłby ją zawieźć do domu. Przeszła się w tamtą stronę i kiedy już stanęła na przystanku, wydało jej się przez chwilę, że znowu wszystko wróciło do życia, do normy. Znow – tak jak to zawsze bywało – czekała na autobus; za chwilę wsiądzie i pojedzie do mamy, a tam, na miejscu, okaże się, że wszyscy udawali. „Udawaliśmy – powiedzą jej może – bo chcieliśmy cię przestraszyć. No, jakże? Dlaczego by nie? Odrobina dowcipu” – i tak dalej. Tak by jej powiedzieli, a ona nie musiałaby się już nigdy tłumaczyć. Nikt by już jej śmierci nie wmawiał, nie wyrzucał niczego. Znow tak jak dawniej czekałaby na przystanku i nie musiała już nigdy udawać, że żyje.

– Ósemka – odezwał się ktoś, siadając obok niej – to stąd jedzie?

– Tak – odparła – jeśli nic nie zmienili.

Odwróciła głowę i napotkała spojrzenie młodej dziewczyny. Miała na sobie białą czapkę i puchową kurtkę, chwyciła teraz zębami palec rękawiczki i ściągała ją z dłoni, nie odrywając wzroku od Marii.

Wie, pomyślała z bólem, zauważyła już – i jakby ją uprzedzając, powiedziała szybko:

– Tak, niedawno. – Po chwili zaś dodała: – Ale ja bawię się, że żyję jeszcze.

– No i dobrze – powiedziała tamta, odsuwając się trochę. – Nie można się poddawać.

Podjechał autobus, wsiadły.

– Jeśli nie żyjesz, nie powinnaś jeździć autobusem – powiedziała dziewczyna.

– Wiem – odparła Maria, zaczerwieniła się. – Na następnym wysiądę. Nie pomyślałam. Trudno się odzwyczaić.

– Koniec świata – odpowiedział ktoś, kto siedział przed nimi. – Proszę tylko pomyśleć, co by było, gdybyście wszyscy tak sobie jeździli z przyzwyczajenia! Gdzie by żywy usiadł?

I wychylając się w kierunku kierowcy, krzyknął:

- Proszę pana, ta pani jest martwa, niechże pan coś z tym zrobi!
- Dokąd chciałaś jechać? – spytała dziewczyna, a kiedy Maria wymieniła nazwę, odparła wzgardliwie: – Przecie most zwalony.

Miejsca osmolone

– Ten koń czarny – powiedział chłopiec. – Mój.

– Dobra, dobra – odparł mężczyzna – i tak nikt nie jeździ.

Podszedł bliżej i wyciągnął rękę, żeby pomóc mu zejść, ale tamten go zignorował: siedział wczepiony w szyję konia, dopóki karuzela nie zatrzymała się zupełnie.

– Słyszysz pan to? – spytał, prostując się nagle, jakby nasłuchiwał.

– Nie – odparł tamten wrogo.

– Tam w tym – powiedział mały i wyciągnął rączkę.

Mężczyzna pomógł mu zejść po schodkach.

– W tym miejscu tam, gdzie teraz cukiernia.

– No? – spytał mężczyzna. – I co tam?

– Był zakład ślusarski – odparł chłopiec. – Pan pamięta? Dorabiali klucze.

– Nie – rzekł tamten. – To musiało być dawno.

– Było dawno.

Tuż koło nich przeszła para: ona pchała wózek, przy którym ponuro terkotał żółty wiatraczek; on szedł kilka kroków za nią, pochylony, jakby zmagał się z podmuchami wiatru.

– Jest już, jest – powiedział, unosząc głowę i przytrzymując słomiany kapelusz. – Jest w mieście wróżbita.

– Nikt nie jeździ, wiesz? Nie przychodzi nikt – powiedział mężczyzna.

– Mieszkała tam rodzina – ciągnął mały. – On pracował w zakładzie, ona siedziała w domu, zawsze. Około czternastej robił sobie przerwę i wchodził na górę, do mieszkania, jadł tam i wracał zaraz. On był chory, wie pan? Jest taka choroba, która zmienia twarz. I nagle podczas jednego ataku coś sobie przypomniał jakby i...

– Słabszy dzień – powiedział tamten. – Takie rzeczy się zdarzają – urwał, po chwili dodał: – Dzieci nie powinny interesować się sprawami dorosłych.

– Przypomniało mi się teraz.

– I tak nie zrozumiesz.

– Jedna z lepszych tragedii – odezwał się ktoś za nimi.

Kilka metrów dalej rozłożył stoisko tęgi mężczyzna w szarej pikowanej kurtce i czapce z pomponem. Gdy tylko zauważył, że odwrócili się w jego stronę, opuścił szybko wzrok i udał, że zabawia się, wydłubując ołówkiem taśmę z kasety magnetofonowej.

– Pan ich znał? – zapytał chłopiec, na co tamten, po dłuższej chwili, jakby decydując się nagle:

– No, a nie? Człowiek musi zawsze zachowywać czujność – urwał znowu, odłożył kasetę i naciągnął czapkę na czoło. – Ale niewiele, raczej tak z widzenia. To nie on szedł do mieszkania na przerwę, tylko ona z herbatą schodziła do niego.

– No – odparł karuzelarz. – Bo ja tu przyjeżdżam od niedawna, jak są okazje, więcej nie.

Do stoiska zbliżył się starszy mężczyzna ubrany w czarne spodnie i czarną koszulę ze stójką. Przyciskał do piersi wymiętą kulę z gazety uformowaną na kształt larwy czy może tłumoczka z niemowlęciem.

– Okazje – powtórzył tamten.

Mężczyzna z zawiniątkiem rzucił mu krótkie spojrzenie, a potem pochylił się nad okrągłym, kieszonkowym zegarkiem o przyciemnionej tarczy.

– Nie chodzi – powiedział i pochylił się nisko.

Wydawało się, że przykłada oko do szybki.

– Chodzi – odparł sprzedawca, odkładając ołówek. – Trzeba tylko potrząsnąć, to wszystko.

– Zegarek – powiedział tamten do zawiniątka. – Nie chciałbyś czasem? Trzeba nim potrząsnąć, to wszystko.

– Żaroodporny – dodał sprzedawca.

– Skąd pan wie?

– Bo się ostał.

Sprzedawał bowiem to, co pozostało z pożarów, a co udało mu się wygrzebać z popiołu czy spod szerniałej pierzyny pogorzeliisk. Pół na pół się z ogniem dzielił: wynajdywał i sprzedawał kawałki prześcieradeł uplamionych ogniem, osmolone zegarki, klamki, skrawki brunatnych zdjęć, którymi potem wyklejał staroświeckie albumy, z polotem, przypadkowo dobierając twarze do twarzy – czasem na podobieństwo, czasem według

porządku starszeństwa; nie trafiał niemal nigdy.

– Ktoś zgubił? – spytał mężczyzna z zawiniątkiem.

– Nie.

– Ktoś zgubił. Syn nie chce.

– Nie chce, to nie – odparł sprzedawca i spojrzał szybko, z ukosa na karuzelarza. – No, znaczy, że chyba nic się nie poradzi, mam na myśli...

– Na razie nie mówi – rzekł tamten. – Ale się przełamie. Potrzebuje czasu. Jest w mieście wróżbita – umilkł, przycisnął do siebie zawiniątko, dodał gniewnie: – Syn będzie wielkim człowiekiem. Będzie jadł i pił ze swojego. Potrzebuje czasu.

– Wróżbita? – powtórzył sprzedawca.

Otworzyły się drzwi cukierni: wyszła kelnerka w ciemnej sukience z bufkami, zaczęła zbierać talerzyki ze stołów rozstawionych przed wejściem. Ledwie się oddaliła, jeden ze stolików obsiadło trzech grubych mężczyzn w płaskich, czarnych kapeluszach. Co rusz słychać było teraz tłusty, podłużny dźwięk kładzonej z mocą karty: dwóch pochyliło się nad stołem, jeden siedział bokiem i zajadał się smażonym jaskółczym ogonem – przeciw niemu grali.

Kilkanaście metrów dalej, przy bocznej drodze ciągnącej się od rynku aż w stronę lasu, rozstawiono biały ogrodowy namiot podobny do tych, jakie rozstawiono nad straganami, lecz o wiele większy. W nim na składanym wędkarskim krzeselku siedział rozparty mężczyzna z głową owiniętą wilgotnym ręcznikiem; nogi rozstawił szeroko, tułów miał mocno odchylony, a ręce założone na brzuchu. Wokół kciuka omotał sobie sznurek, biegnący aż do ustawionego dwa czy trzy metry dalej sporego urządzenia składającego się właściwie z dwóch prętów i rozpiętej między nimi czarnej, błyszczącej błonki celulozowej. Tuż za nią ustawiono się dwóch mężczyzn: podciągali koszule, okazując białe, wzdęte brzuchy.

– Na lewo – zawołał mężczyzna w turbanie. – Na lewo bardziej, bardziej jeszcze na lewo!

I gdy tamci zbliżyli się do siebie, szarpnął za sznurek. Słychać było długi, musujący dźwięk i prysnęło światło – na czarnej błonce ukazał się zarys wnętrza: złotawe kontury, kremowe wykwyty i plamki o beżowym

połysku.

– Ten z lewej ma guza, ten z prawej mszyce – powiedział wróżbita.

– Z pańskiej czy z naszej lewej? – spytał jeden z mężczyzn, wpychając koszulę w spodnie.

– Jak kto woli. Między sobą ustalcie.

I zaraz podszedł następny z kolejki: krępy mężczyzna o krótkiej, mocnej szyi. W rękę trzymał kurczowo liść łopianu.

– To jest liść łopianu – powiedział zawstydzony, na co ktoś z tłumu odparł:

– To przecież wróżbita. Takie rzeczy widzi.

I znów słyhać było osobliwy dźwięk poprzedzający delikatną i czułą eksplozję; błona rozjaśniła się, czerni osłabła o dwa, może trzy tony i ukazał się szkielet liścia, unerwiona siateczka, złotawy zarys ząbków.

– Ślad jest – powiedział wróżbita. – Są być może mszyce.

– Proszę pana – zawołał ktoś z tłumu – jest tu mąż, ma guza. Nie chce iść do szpitala. Czy gdyby...?

– A pani tu co? – spytał nagle wróżbita. – Też na prześwietlania?

– Nie – odparła Maria. – Ja tak sobie tylko.

– Wepchnęła się, świnia. Wcale nie jest bardziej chora.

– Ja w ogóle nie jestem chora – odparła. – I badać też się nie chcę – urwała, przemyślała sprawę, dodała zaraz: – Zresztą nie mam z czego.

– Co mówi? – spytał wróżbita.

– Że nie ma się z czego badać.

– Ho, ho – powiedział – nigdy się tego nie wie.

– Przecież ona nie żyje – zawołało jakieś dziecko. – Mamo, przecież ta pani nie żyje, powiedz!

– Nie żyje – odparła matka i wzięła dziecko za rękę. – Ale nie mów głośno, pani przecież słyszy, potem jej będzie przykro. To nie jej wina.

– Nie badała się pani – powiedział wróżbita – nie obchodziło to pani za życia, to teraz pani ma.

– Nie jestem chora, znaczy nie byłam – odparła Maria. – Poza tym żyję jeszcze – dodała, choć już w to nie wierzyła; powiedziała to raczej, żeby zrobić im na złość, żeby nie myśleli, że wszystko wiedzą lepiej.

Odwróciła się i przeszła przez rozstępujący się tłum. Właśnie kończyła się msza i wokół cukierni trwała uporczywa kobieca obława: dosuwano stoły, dostawiano krzesła, brzęczały bransoletki. Jeden z tych mężczyzn w czarnych kapeluszach, którzy siedzieli przy stole tuż przy drzwiach i grali w skata, odwrócił się nagle i obrzucił ją spojrzeniem.

– Wiewióreczko – powiedział sennie – wiewióreczko.

Udała, że ogląda coś na straganie z zegarkami; tłum gęstniał i bała się, że spotka kogoś znajomego. Nie wdepnąć, powiedziała sobie, w żadną rozmowę. Nie tłumaczyć się znowu, nie musieć znosić ich miłosiernych twarzy, tych spojrzeń pełnych ulgi: no, co za szkoda, żeś ty już umarła, ale, o, my żyjemy jeszcze. O, jak cudownie, jak pięknie jest żyć.

Coś zachrobotало, zadźwięczało słodko, karuzela drgnęła i Maria rozpoznała chłopca, który przywiózł im chleb.

– Coś się zmył tak nagle? – spytała. – Matka cię szukała.

Mały wzruszył ramionami, czarny koń uniósł się wyżej, potem opuścił – zniknęli na moment i pojawili znowu.

– Miałem pewne sprawy.

– Pewne sprawy – powtórzyła, ale nie usłyszał tego, karuzela nabrała prędkości.

Mignęła jej jego ciemna głowa, kosmyk włosów na karku niczym ogonek jabłka, czarny koński tułów i błyszcząca kita. Cofnęła się nieco, pojawili się znowu.

– Jeśli wam o ten chleb chodzi – powiedział mały, zanim znów zniknął – to darowany.

– Ty jej to powiedz – odparła. – Mnie i tak nie wierzy.

– Darowany – powtórzył mały, przejeżdżając koło niej. – I ja od kogoś dostałem.

– Przyjdiesz i sam jej powiesz – powtórzyła, znów zniknął.

– Byłaś w domu? – spytał; konik podnosił się i opadał. – W mieszkaniu?

– Tak – odparła. – Dezynfekcja. Musiałam zabrać dokumenty, zadzwonić tu i tam – urwała – uporządkować sprawy, no, i wróciłam teraz dopiero, ostatnim autobusem...

– Autobusem? – spytał. – Martwa? Przecież most zwalony.

– Przepraszam – odezwał się ktoś za jej plecami. – Nazywam się Solna.

Marii wydało się, że już ją widziała, tak: kobieta wraz z mężem stała w kolejce do wróżbity tuż za nią. Zwróciła na nich uwagę, bo ona, przykulona, co chwilę kołysząc wózkiem, mruzczała coś do siebie, a on to stawał na palcach, to znów opadał na pięty, przytrzymując cały czas słomiany kapelusz. Do boku dziecinnego wózka przyczepili żółty wiatraczek.

– Jest w mieście wróżbita – powiedziała Solna.

Odwróciła się i spojrzała na męża, jakby chcąc mu oddać głos, tamten się jednak nie odezwał, spuścił wzrok.

– Przewiduje przyszłość, jeśli kto ją ma.

– Ja chyba nie jestem odpowiednią osobą do takich rozmów, wie pani – odezwała się Maria. – Ja wiem, że ludzie gadają, ale...

– Niech nas pani zrozumie – powiedział mężczyzna niespodziewanie. – My mamy przecież małe dziecko, to się nie może tak prędko skończyć.

Kobieta opuściła szarpnięciem budkę wózka: wyjrzała obrzmiała główka o białej, cienkiej skórze błyszczącej w świetle słońca niczym brzuch miękkiego morskiego stworzenia.

– Nie wiadomo – powiedziała kobieta. – Może to są mszyce, może coś gorszego.

– Tu, tu i tu – dodał mężczyzna. – Wszędzie białe rany. Zobaczył wróżbita prędko koniec przyszłości.

– I co ja mam z tym zrobić? – spytała Maria. – To naprawdę nie jest dobra chwila. Tak się składa, że sama...

– Niech nas pani zrozumie – przerwała płaczliwie kobieta. – Ludzie mówią, że pani niedawno zmarła.

– Nie da się tego słuchać! – powiedziała Maria. – Ludzie, zawsze ci ludzie! Poza tym żyję jeszcze.

Ale nie słuchali, kobieta podeszła bliżej, próbowała złapać Marię za rękę.

– Nie jest łatwo tak prosić – odezwał się mężczyzna. – W innej sytuacji...

– Ten pan mówił, że dobrze by było dotknąć dziecka wskazującym palcem – powiedziała kobieta. – Nie musi być bardzo, wystarczy je trącić.

– Jaki pan? – spytała Maria, na co tamta:

– Wróżbita.

– O nie, nie będę nikogo dotykać – urwała na chwilę, przemyślała sprawę. – Nawet będąc ciałem, nie będę dotykać. To znaczy: nie będzie dotykać ciało, czyjekolwiek jest.

– Pani mama powiedziała, że można, jeśli pani pozwoli – rzekł Solny. – Właśnie z nią rozmawialiśmy i...

– Kobieta ma pogrzeb na głowie, a jeszcze jej przychodzą! – powiedziała Maria. – Uciążliwi jak potop. Jak wam nie wstyd?

– Nie musi być trzeciaczka – odezwał się chłopiec z wysokości karuzeli. – To mogą być inne choroby.

– To potrwa tylko chwilę – powiedziała Solna. – Palcem wskazującym, ot tak.

Tknęła dziecko krótko, a mocno: zakwiliło zaraz.

Miejsca wystudzone

Miała nadzieję, że nikogo nie zastanie w ogrodzie, ale ledwo otworzyła furtkę, rzucił się jej w oczy jasny krążek światła. Wieko trumny stało oparte niedbale o bieloną ścianę; chrupnął żwir, ktoś wyszedł jej na powitanie.

– Jest już, jest – powiedział – jest już gwiazda nasza.

– No – odparła niechętnie – przejść się trochę poszłam. Przyprowadziłam gości.

Podążyła za ciemną sylwetką poprzez światło aż do stołu przed domem, gdzie ciotka ubrana w bordową podomkę moczyła nogi w misce, która kiedyś – za życia – służyła Marii do wyrabiania ciasta. Na stole rozłożono gazetę, ustawiono wigilijną świecę Caritasu, butelkę wódki i talerz z poddrywanymi kawałkami chleba.

– Jest już gwiazda nasza – powiedziała ciotka wrogo, wyciągnęła rękę, jakby chcąc przywołać Marię do siebie, ale ona nie podeszła bliżej.

– Po co? – spytała. – Daj spokój. Za życia się nigdy nie ścisaliśmy, to teraz będziemy?

– Jak tam chcesz – odpowiedziała ciotka i tąpnęła tłustą nogą w miednicę, rozlewając nieco. – Twoja mama dzwoniła, że trzeba trochę popłakać, więc zaraz żeśmy przyszli.

– To twoi znajomi? – spytał wuj, wskazując na państwa Solnych. – Podobno nie miałaś przyjaciół.

– Oni w interesie – powiedziała Maria. – Dziecko im choruje i ktoś im wmówił we wsi, że wystarczy, że palcem nieboszczyka dotkną i...

– Jest we wsi wróżbita – wyjaśniła Solna, zbliżając się nieco – przewiduje przyszłość, jeśli kto ją ma.

– No, no – powiedziała Maria – idźcie już.

– Pokażesz państwu ciało – spytała matka – czy ja mam iść?

– Niech sami idą, co to? – odparła. – Jest w dużym pokoju, rzuci wam się w oczy, to jest spore ciało.

– Ja pokażę – powiedziała matka – państwo pójdą za mną, o, właśnie.

Solna wyciągnęła dziecko z wózka i poszła za nią, mężczyzna odstawił

wózek pod ścianę i wszedł za nimi do domu.

– Wujek nie może dużo mówić – powiedziała ciotka nagle, chlupnęła woda w misce. – Zanim przyjechaliśmy, mówił cały czas, a teraz już nie może.

– Tak właśnie – odparł on – była ość w tym waszym chlebie.

– Ość – powtórzyła ciotka. – Od kogokolwiek bierzecie, nie róbcie tego więcej.

Sięgnęła po talerz, na którym leżała jeszcze połówka chleba.

– Myśmy go z matką rwały – powiedziała Maria – i nie znalazłyśmy niczego.

– Był w chlebie kręgosłup – odparła ciotka. – Masa drobnych kości.

– Tak z centymetr od skórki spieczonej – dodał wuj.

– Więc nie w każdym miejscu – powiedziała Maria, na co ciotka surowo:

– Nie kupujcie już tam, gdzieście kupowały. Kupujcie razowy – i odwróciwszy się do wujka, dodała: – Dolałbyś mi ciepłej wody?

– Stawać do konkursu lub układać kok – odczytał z gazety. – Na siedem, pionowo.

– Bo się zimno robi, słyszysz?

– Nie wiesz? – zapytał, spojrzawszy na Marię. – Ty też nie?

– Nie – powiedziała. – Są jakieś litery?

– Drugie „o” – odparł, wstając.

– W kuchni masz czajnik, idź no – powiedziała ciotka.

– To ja też pójdę już może – powiedziała Maria. – Żeby nie przeszkadzać.

– Nie przeszkadzasz – odparła ciotka. – Znaczy po tym wszystkim to już chyba nie ma znaczenia, czy przeszkadzasz czy nie.

A to, pomyślała Maria, co znowu?

– Byłaś dzieckiem, pamiętam.

Ciotka wyciągnęła stopę z miski i przebierała palcami.

– Takim dzieckiem, o – wskazała gdzieś metr nad ziemią – ale już wtedy po oczach, po spojrzeniu... Nie masz pojęcia, o czym mówię?

– Nie – odparła Maria. – Ciotka się przeziębi z tą nogą.

– Ja się spodziewałam – powiedziała tamta – spodziewałam się tego. Spytaj matkę! Dzisiaj jej jeszcze mówiłam: „Ale czy ty pamiętasz, że ja was

ostrzegałam? Pamiętasz?”.

– Ja nic nie pamiętam.

– Człowiek się po łokcie urabia, żeby miała jak najlepiej, a ta nawet listu nie zostawi. Dwóch, trzech zdań nie napisze, nie chce jej się.

Nadszedł wuj z czajnikiem, nachylił nad miską.

– Unieś, serce, nogi – rzekł do ciotki – może być gorąca.

I spuścił do miski szary, parujący strumień wrzątku, ciotka zanurzyła największy palec stopy i pisnęła z uciechy.

– Ciało jest już sztywne – rzekł wuj, odstawiając czajnik. – Ty je już widziałaś?

– Nie – odparła Maria. – I nie wiem, czy zobaczę.

– Nie było dużo ludzi – powiedział wuj – właściwie nikt. Znaczący pani Różyło...

– Jest pogrzeb o czternastej – powiedziała ciotka.

– Ja na żaden pogrzeb nie idę – odezwała się Maria. – Nie chce mi się. Po co mi to? Mam już swoje plany. Poza tym żyję jeszcze.

– Ta – odparła ciotka, zanurzając obie stopy; znów pisnęła cicho. – Dzwonił narzeczony, chwileśmy gadali. Ja wiem, może ze dwie minuty? Mama była w kościele, to odebrałam.

– Ze dwie minuty pewnie – przytaknął wuj.

– I mówię mu, że będzie pogrzeb o czternastej, a on, że dziękuje.

– Chciał przyjechać, ale nie mógł nigdzie znaleźć butów – powiedział wuj. – No, szkoda. Szkoda, żeś się z ludźmi więcej nie zadawała. Przyjemnie mieć potem ładny pogrzeb, ale za życia trzeba się tym interesować, że tak powiem. Twoja mama mówiła – dodał – że cię dzisiaj widzieli pod kościołem. Skarżą się podobno, że ich przerażasz. Ktoś mówił, że drażniłaś patykami święte figurki.

– Jakie figurki? – spytała Maria. – Jakim patykami? Ja od pewnego czasu przecież nie biorę nic do ręki.

– Masz żal, nie? – spytał wuj. – No, ale powiedz szczerze. Masz żal, nie? Do Boga?

– Był we wsi wróżbita – powiedziała Maria. – Przewidywał przyszłość, jeśli kto ją miał, poszłam popatrzeć.

Skrzypnęły drzwi: szła matka, za nią państwo Solni.

– Jesteś leworęczna, nie? – spytała mama. – Dobrze pamiętam?

– Właśnie rozmawiamy o tym, że trzeba ją odzwyczaić – odezwała się ciotka. – Inaczej będzie wracała.

– Niech wraca – odparła matka. – W końcu jej dom.

– Mnie tam nic do tego – powiedziała ciotka. – Ale się sąsiadom nie będzie podobało.

– Jej dom – odparła matka uparcie.

– Jest skuteczny sposób – powiedziała ciotka – na pozbycie się zmarłych. To znana metoda: lampę trzeba stawiać na podłodze. To ich ponoć niepokoi.

– Pisali ze szpitala – odezwała się matka, jakby dopiero sobie o tym przypominając.

Otworzyła torebkę, wyciągnęła karteluszek złożony na cztery.

– Wypisali akt zgonu, potwierdzili godzinę.

– Coś musieli napisać – powiedziała Maria, odchrząknęła. – Był ten mały od chleba.

– Gdzie?

– Na odpuście. Kręcił się na karuzeli. Twierdzi, że jemu też ktoś dał.

– Mówiłam? – powiedziała ciotka. – Od Molków ten mały, z piekarni.

– Przecież most zwalony.

– Czy chleb razowy jest zdrowy? – spytała ciotka, zwracając się do Solnych. – Czy ma więcej witamin? Pokłóciłam się o to ze znajomą.

– To my już się pożegnamy – odparł mężczyzna, nasadził kapelusz mocniej na głowę, objął Solną i zaczęli odchodzić.

Słysząc było sumienny terkot wiatraczka przy wózku, chrupanie żwiru na ścieżce.

– Widzieli mnie w swetrze – powiedziała Maria nagle. – Zupełnie o tym zapomniałam.

– Powiedziałam, że to był wypadek – odparła matka – że tylko ten sweter miałaś.

– Że reszta spłonęła – podpowiedziała Maria. – Tak mogłaś powiedzieć.

– Stawać do konkursu lub układać kok – odczytał wuj, pochylając się nad gazetą.

– Daj już spokój – odparła ciotka. – Oni te hasła wymyślają specjalnie takie.

– Chodźcie spać – powiedziała matka, odwróciła się do Marii. – Chyba pójdziemy już spać. Ty śpisz?

– Nie – odparła. – Znaczy nie wiem jeszcze.

– Nie wie jeszcze! – powtórzyła ciotka, wycierając sobie nogi ręcznikiem.

– Poza tym teraz i tak nie zasnę. Dużo wrażeń jak na jeden dzień – urwała, po chwili dodała: – Bo wracam z mieszkania. Dezynfekcja.

– Nareszcie – odparła matka, gasząc świecę – myślałam, że już w ogóle nie przyjdą. Firanki poprali?

– Tak – powiedziała – i nawet za szafą wymyli.

– To dobrze.

A potem wstali i weszli do domu; Maria została przy stole w okrągłym, żółtym świetle lampy i z białym wiekiem trumny wspartym o ścianę domu. Sięgnęła po krzyżówkę: ledwo odczytała „stawać do konkursu lub układać kok”, a przypomniał jej się warkoczyk kobiety, która sprzątała mieszkanie; wąski splot niczym zgrubienie na jedwabiu.

Uczesać by się chociaż, powiedziała sobie, nie leżeć kosmatym.

Wyobraziła sobie swoje ciało złożone do trumny w lichym czerwonym swetrze i ze zmierzwionymi włosami: poczuła ucisk w gardle. Potrząsnęła głową, pochylając się znowu nad krzyżówką; próbowała rozwiązywać dalej, ale łzy spadały jej na gazetę, zamazując hasła.

Trudno, powiedziała sobie, wejdzie, nachyli się, upewni, zaplecie warkoczyk. Co to? Czy ona nie może? Czy nie da rady raz w życiu? I kiedy jutro ją zobaczą, a przecież zobaczą, to nad jasnym czołem ujrzą niby to przepaskę, a niby wianuszek z warkocza: ostatnią uprzejmość wyświadczoną światu.

Wstała od stołu i podeszła do okna. Z początku światło ogrodowej lampy nie pozwalało jej dostrzec niczego, co było w pokoju, szyba odbijała tylko to, co Maria miała za plecami: stół, czajnik, emaliowaną miskę i świecę Caritasu.

A ja się już nie odbijam, pomyślała Maria, nabrałam tych ich przyzwyczajień.

Weszła na ganek, odnalazła wyłącznik i zgasiła światło, po czym wróciła pod okno i stanąwszy na palcach, zajrzała do środka.

Spoczywała sobie w białej trumnie wyścielonej niebieskim welurem. Z początku widziała tylko bose stopy o niestarannie obciętych paznokciach, z których schodziły resztki wiśniowego lakieru; obok trumny na nocnym stolyczku ustawiono parę butów: sztywnych czółenek na wysokim obcasie – jedno z nich zwrócone było noskiem do okna i można było zobaczyć, że wymoszczone jest solą; w ten sposób w tych stronach odsyłało się do ziemi ciała potępionych. Przysunęła się jeszcze bliżej i zobaczyła, że prawa dłoń owinięta jest różańcem i porządnie złożona na piersi, a lewa zwisa wykręcona pod dziwacznym kątem.

Do brania to zawsze są pierwsi, pomyślała wzburzona, zawsze pierwsi do brania i do trącania ciała, a ręki odłożyć już nie było komu. Jak ja nie zadbam, to już nikt nie zadba, nawet po śmierci.

Przysunęła się jeszcze, dostrzegła twarz w trumnie, znieruchomiła nagle. To nie była ona. To nie było jej ciało.

Pan Jezus już się zbliża i zachodzi słońeczko

– Trzeba wieko podważyć – powiedział grabarz. – Podważyć, przytrzymać, to wszystko.

– Podważyć nic nie da, trzeba całe uchylić i...

– Starczy – odparł tamten. – Nu, czemu by nie? Zawsze dotąd starczało.

Poczerwieniał nagle i opuścił głowę.

– Nu, starczało. Może gdyby nóż, widelec. Tutaj przytrzymać, a tutaj odciągnąć...

– Mocno trzyma.

– To dobrze. Po to zamykają.

– Nie wiem, czy dam radę – odezwał się chłopiec.

– Mam nóż – powiedział grabarz nagle. – Mam, a zapomniałem.

– Bo nie używał pan – odparł chłopiec. – Tu może podważyć i... Ja już napocząłem, widzi pan?

– Nu, teraz ja sam.

Trzasnął metal; gdzieś w oddali zaturkotał wózek, przemknęła skulona kobieta. Grabarz usiadł na ławce, wyciągnął nogi i oparł je wygodnie o grób.

– Nu, dziękuję. Nie chodzi o to, że sam nie umiem, tylko taki strach mam w sobie, ja wiem? Strach taki, że gdybym się skaleczył...

Odsunął wieko, zajrzeli do środka.

– Na wszystkim oszukują – powiedział. – Nu, nikomu dziś nie można wierzyć.

Włożył widelec do puszeki, obrócił go niezgrabnie, wyciągnął z gęstego syropu pierścień ananasa.

– Łapę daj.

Raz po raz przechodziła ich pręga cienia, niby w wielkim maglu: pas chmur wiatr jednym podmuchem to zawiewał, to znów zawracał; dach kościoła przybierał odcień to czarny, to seledynowy, to w jedną, to w drugą stronę wirował kogut na szczycie wieży. Gdy tylko pasmo cienia przechodziło przez dobudowaną do plebanii królikarnię, podnosił się nagły wrzask, pół zwierzęcy, pół ptasi, trwał przez krótką chwilę, po czym

gwałtownie opadał, niby skwierczenie, które wydaje w zetknięciu z gorącym tłuszczem łyżka wody.

– Te pocztówki takie – powiedział grabarz, spoglądając przed siebie – te grające, wiesz? Na śluby, komunie, wiesz?

– No – odparł chłopiec, oblizując palce.

– Syte szmelcem takie – dodał tamten – ale zbieram. Gdybyś kiedyś widział...

– Wiadomo.

– Na cześć boską grają – powiedział grabarz, zajrzał do puszki, odłożył widelec na płytę grobu i wypił syrop duszkiem. – Na przodzie anioł albo młoda para, chleb pod nimi. Otwiera się i nagle muzyka, a skąd? Nie wiadomo. Niesamowita sprawa. Dokonania człowiecze...

– Jest układ sterujący – powiedział chłopiec. – Jest silniczek mały.

– Nu tak – odparł tamten i spochmurniał trochę. – Ale co poza tym, ja mam na myśli.

Odłożył puszkę, wyprostował się i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kurtki kartkę.

– Ta jest komunijna. Jeśli ją otworzyć...

– Układ sterujący, taka czarna plamka: kleks jakby żywicy. Zabezpiecza.

– Kleksik zabezpiecza, a gra, o, samo z siebie. Widzisz, tu pod spodem: małe takie, a pamięta, zna różne melodie.

Otworzył kartkę i zamknął.

– Ta nie gra, sam widzisz. Ale kiedyś grała.

Podsunał mu pod nos, razem spoglądali: biała kartka ze srebrno tłoczonym barankiem.

– Nie gra, ale ładna, co?

– Muzyka dla oczu – odparł chłopiec, a tamten powtórzył to po cichu, dla siebie.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu; mężczyzna raz jeszcze rzucił okiem na kartkę, odchylił się nieco, wyciągnął kolejną.

– Ta gra.

Patrzyli: Bóg Miłosierny o krótkim, grubym karku, w otoczeniu pszczoł, z wieńcem dożynkowym i niby berłem zrobionym z drewnianego prawidła

do butów. „Chleba naszego zimowego” pisano pod spodem, a przy otwarciu rozlegały się słodkie, roziskrzane dźwięki: to Jezus już się zbliżał, to za las kalinowy zachodziło słońeczko.

– Za lasek kalinowy, za sadek wiśniowy i za rozmaryjon – powiedział chłopiec, a grabarz kiwnął głową.

– A to – spytał, wyciągając kolejne kartki – znasz?

Po kolei podawał: scena w szopce pańskiej; cuda Wielkich Nocy: żółte kurczę na gałązce bazi; chichocząca kobieta w kusej koszulce nocnej, spod której wychylał się figlarnie brzoskwiniowy pośladek; ruda piękność o zębach upchniętych w uśmiechu niby tłuste larwy.

– Nu, znasz?

Rozległy się trzy czy cztery okrągłe, rubaszne dźwięki, przymknęli kartkę, zaśmiewając się do rozpuku.

– Nu, nu – powiedział grabarz, ocierając oczy. – Wystarczy, wystarczy. To przecież nie wypada, żeby na cmentarzu grało.

Ale zaraz znów otworzył karteczkę, znów błysnęła frywolna melodia, znów się zaśmiali, chowając twarze w dłoniach.

– No – płakał chłopiec. – Jeszcze raz, chociaż na momencik.

Otwierali karteczkę i zanosili się śmiechem; cień przechodził przez nich raz po raz, raz po raz podnosił się wrzask z królikarni, raz po raz wiatr przynosił ciemny, podłużny zapach gnijących jabłek.

– A to – mówił grabarz, podsuwając następną kartkę – to znasz?

Rozległo się chrupanie, znieruchomieli zaraz. Grabarz pośpiesznie zebrał kartki z nagrobka i ścisnął w dłoni ukradkiem, oglądając się za siebie.

– O – powiedziała Maria, pociągając nosem. – Znowu ty. Gdziekolwiek się człowiek ruszy, zawsze ty. Wszędzie jesteś.

Przez chwilę milczeli, grabarz schował puszkę po ananasie za ławeczką, upchnął widelec w przedniej kieszonce kurtki, założył kapelusz i wstał.

– Studni pani szuka – powiedział, na co ona:

– Nie.

– Szuka pani studni.

– Doszło do pomyłki – odparła niechętnie. – Zamieniono ciała. To znaczy: martwego chowają, a...

– Nu – powiedział – to dobrze. O to chodzi właśnie. Martwych grzebać i tak dalej.

– Ale nie tego, co trzeba, chowają.

– Ten dół tam – wskazał palcem – to dla pani. Wiem, bo sam kopałem.

– Mówię panu przecież, że pomyłka.

– Bo pani pewnie żyje jeszcze? – odparł grabarz, zerknął na chłopca i się uśmiechnął. – Nu, trudno. Ziemi trza oddać ciało, a jakie to ciało, to ja już nie wnikiem, sami sobie ustalcie. Nie moja robota. Czy pani coś zbiera?

– Proszę?

– Pytałem, czy pani coś zbiera.

– Nie – odparła Maria. – Skoro grób pusty, to znaczy, że się nie spóźniłam?

– Szkoda – powiedział. – Teraz będzie pani miała dużo czasu. Powinna pani zacząć.

– Nie spóźniłam się? – powtórzyła, przestępując z nogi na nogę.

– Nie – odparł. – Dzwonili do mnie z konduktu: jest piękna pogoda, chcą się przespacerować, pójda dłuższą drogą.

Usłyszeli znów kroki na żwirowej ścieżce między kwaterami. Zbliżała się do nich dziewczyna z butelką mleka, ta sama, z którą Maria rozmawiała pod domem.

– Nareszcie – powiedziała – tak bardzo czekaliśmy.

Zrobiła jeszcze kilka kroków w stronę Marii, nagle przystanęła. Grabarz i chłopiec spojrzeli na siebie.

– To co? – spytał mały. – Do światłości?

Na co tamten, podając mu rękę, odparł:

– E, nie.

Podwieczorek zapoznawczy dla zmarłych

To było małe, okrągłe okienko wypełnione witrażem: mlecznym kręgiem z plamą słońca okoloną gałązkami bluszczu.

– Nigdzie nie pasowało, więc proboszcz nam je tutaj wstawił – powiedziała dziewczyna. – A my z tej wdzięczności... – urwała, pochyliła się i włączyła małą lampkę nocną.

– Myślałam, że lampa na podłodze niepokoi zmarłych – odezwała się Maria.

Trójkąt światła padł na odrapaną ścianę, obwieszoną wycinkami z gazet (remont ołtarza, stulecie parafii, urodzili się/umarli) i żółtawymi rycinami przedstawiającymi przekrój ludzkiego tułowia z wyszczególnieniem polskich i łacińskich nazw.

– Nie, skąd by? – spytała tamta, wzruszając ramionami. – Ale jeśli panią niepokoi, to zgaszę.

– Nie, nie – odparła Maria, podeszła do klatek. – Mnie to nie przeszkadza, ale, wie pani, ja jeszcze nie umarłam.

Włożyła palec między druty klatki i cofnęła go zaraz.

– Gryzą?

– Robią trochę hałasu.

Między klęcznikiem wyściełanym bordowym aksamitem a kratką konfesjonau ustawiono okrągłe klatki dla ptaków: czarne, mosiężne, o bogatych zdobieniach i ażurowych kopułach zakończonych to kółkiem, to haczykiem. Po dwa, po trzy upchnięto w nich króliki.

– Ta ława tam – powiedziała dziewczyna, wskazując – przysuniesz? Ja wezmę stół, a z tej, o, strony dosuniemy krzesło.

– Nie zostanę długo – odezwała się Maria. – Czekam tylko na pogrzeb, nie chcę was poznawać.

– Nie to nie – odparła tamta. – Kiedyś będziesz musiała.

Uchyliły się drzwi, weszła matka dziewczyny. Jedną dłoń wspartą miała o biodro, drugą, obleczoną w rękawiczkę, przyciskała do piersi.

– Jest świeży grób wykopany – powiedziała. – To pani? – urwała, dało się

słyszeć płaski, szary dźwięk: ceramiczne naczynie stawiane na podłodze. – Nasi mężczyźni rozpalili sobie w nim ognisko, zagrzebali ziemniaki. Lubi pani ziemniaki?

– Niech palą – odparła Maria. – Ani nie mój grób, ani moja sprawa. Jakże te kartofle?

– Zwyczajne – rzekła tamta – w mundurkach. Lubi pani takie?

Córka sięgnęła po butelkę, pochyliła się i przelała mleko do miski.

– Nie chcę już jeść królików – powiedziała nagle. – Nie mogę patrzeć na króliki.

Pochyliła się znowu, zagwizdała krótko: rozległ się okrągły, czerwony dźwięk zawinięty do środka jak pępek.

– No, pijże.

– To jest córki wąż – powiedziała kobieta, na co tamta:

– W mleku śpi. Musi w mleku spać, inaczej zrzuca skórę.

– Wąż w domu – odezwała się Maria. – Nie rozumiem, dlaczego pani na to pozwala.

– Bo co? – odparła tamta. – Wąż to czyste zwierzę.

A córka dodała:

– Znalazłam go w lesie, ktoś widać porzucił. Miał takie smutne oczy.

Znow skrzypane drzwi, nadchodzili inni: jegomość w kapeluszu z łyka i w nadpalonej marynarce, za nim mężczyzna w malowanych na czerwono chodakach i z dużą butelką, w której – niby model statku – tkwiło zapłakane niemowlę, za nimi kobieta w ciemnej, szykownej sukience i z czerwoną aksamitką na szyi, przyozdobioną plastikowym flakonem w kształcie pąka róży, wraz z nią, wyciągając przed siebie białą laskę, szedł starszy mężczyzna: wysoki i chudy, mysi oblubieniec o spiczastym nosie.

– Już, już – powiedziała. – Już prawie jesteśmy i zaraz siadamy.

Podprowadziła go do stołu i odwracając się do Marii, dodała:

– Jak dobrze. Tak długo czekałam.

– Przecież się nie znamy – odparła Maria, cofnęła się o krok.

– Na kogoś, kto też... – odciągnęła wstążkę przy szyi, błysnął różowo flakonik.

– Ale ja żyję jeszcze – powiedziała Maria.

Stuknęły naczynia: półmisek z brunatnym pieczystym o króliczym kształcie i skórcie tak napiętej i szorstkiej, że wydawało się, iż szwy, które ją spajają, puszczą zaraz, odsłaniając bladożółte mięso, talerz z ziemniakami i dzbanek słodzonej wody różanej. Ktoś stuknął w niego dwa razy nożem do masła, a mężczyzna w nadpalonej marynarce złożył ręce i przeżegnał się niedbale, a potem odsunął talerz i wyciągnął z kieszeni marynarki szachownicę wielkości pudełka na cygara.

– Ja jadł nie będę – powiedział do kobiety, która ściągała rękawiczkę i układała ją starannie nad talerzem niby przybranie z serwetki. – Wypadł mi ząbek dziś rano.

– Ojej – odparła nieuważnie. – Nie wyrzucaj. Schowaj go może na noc. Przyjdzie myszka i weźmie, w zamian coś zostawi.

– Weźmie ząbek kościany, a zostawi żelazny – odezwał się mężczyzna z białą laską i pochylił głowę, żeby usłyszeć, czy kogoś może te słowa rozbawią.

– Nie przedstawiła się pani – powiedział mężczyzna znad szachownicy. – Nie powiedziała nic o sobie. Nie przyznała, na co umarła.

– Mieliśmy jeszcze puszczkę ananasa – odezwała się kobieta z aksamitką. – Nigdzie nie mogę znaleźć, wyście zjedli?

– Jeszcze nie umarłam – powiedziała Maria.

– Nie – odparła kobieta z rękawiczką. – Myśmy nawet nie wiedzieli, że była.

– Zabrał może kopidół.

– No, a nawet jeśli – powiedziała Maria – to i tak nie wiem na co. – I szybko, chcąc uprzeczyć pytanie: – I nie jestem ciekawa. No, po co mi to? Zmieni to cokolwiek?

– Nie – odparł tamten. – Ale będzie o czym rozmawiać.

– To ta sprzed kamienicy – powiedziała kobieta z rękawiczką. – Mówiłam ci, kochany. Już z nią rozmawiałam. Nie dopuszcza myśli.

– Nawet przyjść nie chciała – odezwała się jej córka, kładąc miszkę z mlekiem i węzem na kolanach. – Łaskę nam robi, mówi, że była akurat na cmentarzu i wpadła, że nie chce sama czekać, aż ją pochowają.

– Ma pani taką sukienkę, jaką ja za życia miałam – powiedziała kobieta

z aksamitką, na co Maria odparła:

– Były jeszcze zielone.

– Moja była zielona.

– No – powiedział mężczyzna znad szachownicy – to na co pani zmarła?

– Może pani mówić – odezwał się ten w czerwonych chodakach. – Tutaj sami swoi.

– A tak sobie, po prostu – powiedziała Maria. – Mogłam, to umarłam.

– Tak sobie, po prostu – powtórzył tamten i zabębnił palcami w stół, rozglądając się dookoła.

Wszyscy pospuszczali wzrok.

– Osobiście jestem człowiekiem rozumu – powiedział – i nie przekonuje mnie śmierć tak po prostu.

– Dlaczego? – spytała kobieta z aksamitką. – Ja też się kiedyś zabiłam. Nie ma się czego wstydzić. Każdy z nas ma inne potrzeby. Niektórzy odchodzą w samotności, tak lubią. Jeśliby oceniać...

– Wcale nie oceniam – powiedział mężczyzna. – Po prostu nie mieści mi się w głowie. Ja osobiście żyłbym, ile wlezie – umilkł, udał, że zbiera palcem okruchy ze stołu. – Ostatecznie jednak człowiek jest wolny niestety.

– Jest przyjemnie żyć – odezwała się kobieta z rękawiczką. – No – zwróciła się do mężczyzny z szachownicą – powiedz, kochany. Czy jest żyć przyjemnie?

– Bo ja wiem? – odparł. – Gdyby się znów dało...

– Ma pani rodzeństwo? – zapytał ślepiec, uśmiechając się do Marii.

– Mam siostrę.

– I co? – spytał. – Siostra żyje?

– Żyje.

– No widzi pani: da się?

– Jeśli tylko są chęci – powiedziała Maria. – A u mnie nie było. Może mi się znudziło to życie? Może raz w życiu chciałam zrobić coś tylko dla siebie?

– Dla siebie – powtórzył tamten.

– No już, już – powiedziała kobieta z aksamitką. – Bo spłoszycie panią – urwała, odwróciła się do Marii i uśmiechając szeroko, dodała: – Ja panią rozumiem. Chciała pani mieć coś własnego i ma: śmierć. To świetna sprawa.

Gdybym mogła raz jeszcze zdecydować, postąpiłabym tak samo. Proszę się nie tłumaczyć.

– To nie był mój pomysł – odpowiedziała Maria. – Że śmierć jest możliwa, wyczytałam w książkach.

– Ja też nie żałuję – powiedziała kobieta z rękawiczką. – Mnie się śmierć trafiła, ale nie żałuję. Zastanawiam się czasem, co by było, gdybym nie umarła.

– Nie wytrzymam tego dłużej – zawołała dziewczyna z węzłem. – Pojawiają się muchy, czują gotowane.

– Zaraz lep przyniosę – powiedziała jej matka, wstając. – Gdzieś tam był za stołem. Słodkie jest, to je kusi, podobne podobnym.

– Poza tym żyję jeszcze – odezwała się Maria i dodała szybko, żeby zmienić temat: – To dziecko – powiedziała, wskazując na butelkę – to wasze?

– A nie – odparł ślepiec. – Samo sobie umarło.

Obmacał stół wokół siebie, natrafił na butelkę i zapukał w nią dwa razy.

– Płacze i płacze, sama pani widzi – zapukał raz jeszcze, zbliżył usta do ścianki, warknął: – Cicho tam, jebańcu.

– Ciekawe – powiedziała kobieta z aksamitką – kto i jak je tam wsadził. Ładna rzecz – dodała – niezmiernie ozdobna, ale w głowie się nie mieści, skoro butelka tak mała, a dziecko jednak zwykłych rozmiarów.

– Dzielą je na kawałki i potem pęsetką składają na nowo, już wewnątrz butelki – powiedział mężczyzna w chodakach. – Ja się znam, ja też je nieraz składałem. Albo biorą niteczki i...

– Jego ojciec zwariował – powiedziała kobieta z rękawiczką, wracając do stołu z żółtym, błyszczącym wałkiem na cienkiej nóżce niby mała lampka. – Ledwo mu umarło, zrobił sobie drugie. A jakie! Z gazety! Obnosi je wszędzie i tłumaczy, że ciche. Odszedł zupełnie od zmysłów. Podobne podobnym.

– No już, już – powiedział ślepy, stukając paznokciem w ściankę butelki. – Jak będziesz niegrzeczny, pójdziemy do Bozi. – Po czym dodał: – Wsadziliśmy go do środka, żeby nie słyszeć, jak płacze. A płacze, prawda? Płacze cały czas.

– Teraz nic nie słyszeć – pochwaliła kobieta z aksamitką. – Nawet gdy się

ucho przyłoży...

– Ja wciąż słyszę – rzekł ślepy.

– Mama, a ja dziś ładna jestem? – zapytała dziewczyna z węzem, wyciągając z kieszonki okrągłe francuskie lusterko.

– Pan to co innego – powiedział mężczyzna w czerwonych chodakach. – Dobry słuch obyczajem ślepych i...

– To dziwne – odezwała się Maria. – Nie odzyskał pan wzroku po śmierci? Wydawałoby się...

– Oczywiście, że nie – powiedział ślepiec. – Kto odchodzi ślepy, wraca ślepy. Naprawdę nie ma wielkiej różnicy. Może więcej spokoju, ale nic inaczej.

– A pani chciała odmiany? – zawołał mężczyzna z szachownicą i uderzył pięścią w stół. – W głowie się nie mieści.

– Mama, ja już się nie odbijam.

– Dzisiaj się nie odbijasz, a jutro się odbijesz – odparła kobieta. – Nie trzeba się martwić, może to słabszy dzień.

– Niedługo się skończy mleko – powiedziała, patrząc na węza. – Trzeba będzie znów iść i prosić...

– Albo zmartwychwstać – odezwała się kobieta z rękawiczką – zdobyć trochę mleka i potem umrzeć na nowo. – Po czym dodała rozmarzonym tonem: – Ach, tak iść sobie zmartwychwstać, jak by to pięknie było! Co byście zrobili, gdybyście znów żyli?

– Poszłabym po mleko – powiedziała jej córka. – No, tak właśnie. A najpierw wróciłabym do domu, wzięła długie prysznic, położyła się we własnym łóżku. Znów bym miała cień, więc późnym popołudniem wyszłabym do ogrodu i przeglądałabym się w ziemi.

– Odwróciłbym kromkę, żeby znów mieć sny – powiedział ślepiec.

– To zależy jakie – odezwała się kobieta z aksamitką. – Mnie się ciągle coś śni, najczęściej koszmary. Odwiedzają mnie żywi, przekazują znaki.

– To dobrze – odparła kobieta z rękawiczką. – To na dobrą pogodę.

– Nie żreć tyle na noc, nie będą się śnili – wtrącił mężczyzna pochylony nad gazetą.

– Zna pani sztajerka? – zapytał ślepiec. – Sztajerek, taniec taki.

– W szachy pani gra? – spytał surowo mężczyzna z szachownicą.

– Nie – odparła Maria wrogo, na co on:

– I dobrze.

A jego żona dodała:

– Ponacinali króla, grają znaczonymi.

– To ja ponacinałem – odezwał się ślepiec. – No bo jak inaczej?

– Niech pani nawet z nimi nie zaczyna – dodała żona. – Sama pani widzi: szachy znakowane. To nie są gry, w których by można wygrać.

– Mało was tu – powiedziała Maria. – Dlatego się nudzicie.

– Mało – przyznała kobieta z aksamitką. – Obecnie coraz rzadziej niestety się umiera. Są na to metody, lekarstwa, szczepienia, instalacje medyczne, a kiedyś, proszę pani: hurtem zwarte dusze.

– No jak to? – powiedziała Maria. – Przecież co chwila, jak się coś zdarzy, ktoś zginie, ktoś spłonie.

– Spłonie – powtórzyła z zachwytem kobieta z rękawiczką. – Jak pięknie. Myśmy też spłonęli.

– Lecz najpierw nas tatuś zastrzelił – powiedziała córka. – No nie, tatuś? Tak było. Z kimś tam nas pomylił.

– Nie przy obcych – powiedziała matka, obraziła się. – To są nasze sprawy.

– Niepotrzebnie żeśmy mu te szachy schowały.

– No już, już – powiedziała kobieta z rękawiczką i zwracając się do Marii: – Niech się pani z nią pobawi, ona tu nie ma nikogo w swoim wieku.

– Ja nie jestem w jej wieku.

– Pobawcie się, że żyjecie – poradziła kobieta – że znów macie cienie.

Dziewczyna zaklaskała i poderwała się od stołu. Zniknęła gdzieś poza światłem lampy, potrąciła jedną z klatek, podniósł się wrzask; powróciła z kawałeczkiem kredy.

– Idź w ten kąt tam, po prawej – powiedziała do Marii.

Po czym poszła za nią, kucnęła i narysowała na podłodze zarys cienia.

– Ten cień twój – powiedziała – a ten – znów kucnęła – ten mój.

Nie odbijam się, pomyślała Maria, nie odbijam się i nie rzucam cienia. Nabrałam ich nawyków. Raz życiu odpuścić, a samo zacznie się wytrącać.

– Chłopak mały taki – odezwała się. – Znacie? Od niego wszystko się zaczęło. Któregoś dnia i z chlebem...

– Kaleka – zawołała kobieta z aksamitką. – Czy kaleka?

– Tak, ten, co utyka taki – powiedziała Maria. – Ciągłe go widuję.

– Dzieciątko Bożątko – odparł mężczyzna w chodakach.

Zrobiło się cicho.

– Mam wrażenie – powiedziała – że może być sprawcą.

– Jest sprawcą.

– Niech się pani trzyma z daleka – odparła kobieta z aksamitką. – Weźmie panią do nieba, jeśli panią dorwie. Proszę mu się nie dać.

– Zwąchał konfitury – dodała kobieta z rękawiczką. – Wyczuł, że pani nie żyje, i w zamian...

– Ja nigdzie nie idę – powiedziała Maria wrogo. – No, bo na co mi to?

– Zabierze panią do matki, każe jej w pracy pomagać – odparła kobieta z aksamitką. – My ich znamy. Niech się pani nie da.

– A, co gadacie. Pogrzebią panią, to potem ją ruszy – odparł mężczyzna w chodakach. – Po to właśnie się kręci: nie chce niczego przegapić. Ledwo grudy ziemi na trumnie, a już wiedzie duszę do góry.

– Matce Boskiej pomagać – powiedziała kobieta, wywijając rękawiczką. – Trzymać jej kłębuszek, gdy robi na drutach. Za kogo nas mają? Tyle tylko znaczymy – urwała. – Już z królikami wolę siedzieć. No, bo czemu nie? Bo to gorsze króliki?

– Ja do Boga nie pójdę – odparł ślepiec, krzyżując ramiona. – Ja też wolę króliki.

– Niech się pani nie daje. Proszę zostać z nami.

– U Różyłłów – przemówiła dziewczyna – z jednego jajka dwa kurczątka. A tak. I ta mała taka, od Różyłłów, córka...

– Wnuczka ich.

– ...zadusiła jedno. I co? I nic. I przyszło Bożątko.

– Miał do małej słabość i jej kurę wskrzesił – powiedziała kobieta z rękawiczką. – Kurę jej wskrzesił, a nas wskrzesić nie chciał. I nic nie pomagało, żadne argumenty, żadne prośby. Tak by iść i zmartwychwstać, i wrócić tu z mlekiem.

– Mleka nigdy dość – powiedziała kobieta z aksamitką. – Ani ananasa.
Mieliśmy tu puszczkę...

– Nie mogę patrzeć na króliki – odparła Maria. – Nienawidzę królików.
Odezwały się dzwony.

Pogrzeb, boży obiadek

Pochód otwierał najdostojniejszy z karawaniarzy: otyły mężczyzna o pełnych, kobiecych biodrach maskowanych daremnie długą, granatową marynarką zapinaną na trzy ogromne złote guziki z wytłoczonym wizerunkiem lwa oblegającego palmę. Szedł tyłem i – niczym na parkingu – co krok dawał znać ruchem dłoni, że jest jeszcze miejsce i można podejść bliżej. Za nim szło pięciu mężczyzn w płaskich, czarnych kapeluszach: czterech dźwigało trumnę, piąty, usiłując nadążyć za nimi, szedł z boku, przytrzymując na wieku mały wianuszek kwiatów. Zaraz za trumną szła matka, obok niej ciotka w okrągłym kapeluszu przyozdobionym kawałkiem wygniecionej woalki, z drugiej strony szedł wuj, pochód zaś zamykało czterech ministrantów.

– Nie ma księdza jeszcze – powiedziała matka. – Trzeba by go poprosić.

– Powiedziałem grabarzowi, że będziemy później, obiecał przekazać.

Uchyliły się drzwi od zakrystii. Wszedł chłopiec ubrany w komżę i lekko utykając, podszedł do ołtarza, chwilę szukał zapalek.

– Ej – powiedział jeden z ministrantów. – To nasze.

A drugi dodał:

– Za młody chyba jesteś, by do mszy służyć.

– Ja nie służę – odparł tamten, zapalając świecę. – Tak tylko pomagam, żeby szybciej było. I tak długo czekałem.

Zaskrzypiały drzwi i wszyscy odwrócili głowy.

– Sprzeciwiam się – powiedziała Maria i podeszła bliżej. – W tej trumnie to nie ja jestem. Czemuście kłamali?

– Dobrze ci się spało? – spytała ciotka.

– O, na pewno dobrze – odparł wuj. – Tak posapywała.

– Mamo, czemuście kłamali? – zapytała Maria, zbliżając się nieco i kładąc dłonie na biodrach. – To nie ja w tej trumnie.

– Nikt nie kłamał – odezwała się matka i schowała twarz w chusteczce.

– To nie ja. Widziałam ciało.

Zapadła krótka cisza; jeden z karawaniarzy dał znak, by postawić trumnę.

– Nie spodziewaliście się.

– Nie – przyznała matka. – Już nam dobrze szło, a teraz – urwała, ocierając oczy. – Tak nagle zniknęłaś.

– I co żeś myślała? – spytała ciotka gniewnie. – Coraz mniej cię było w domu, na coraz krócej przyjeżdżałaś. Co mówić sąsiadom? Jak długo można wmawiać, że jesteś za granicą?

– Zawsze żeśmy wszystko robili, żebyś była jak inni – zawołała matka. – O, żebyś pogrzeb miała ładny.

– Dostałaś zaszczytu wszystkich sakramentów.

– No, czy to źle? Chcieliśmy ci uroczystość ładną urządzać, piękne wydarzenie do zapamiętania na całe życie. Spróbuj nas zrozumieć: tyś tak nagle przepadła, wszędzieśmy cię szukali. Nikt nic nie wiedział, a ludzie pytali. Co mieliśmy gadać? A potem nagle któregoś dnia stajesz na środku podwórka. Cienia nie rzucasz, nie odbijasz się, nie wiadomo. A tu to ciało...

– No właśnie – powiedziała Maria. – Skąd ciało?

– Sama nic nie mówisz, a byś chciała pytać – odparła ciotka. – Nie ma o czym gadać: jakie by tam było, ciało to jest ciało.

– Znalazłam – powiedziała matka. – Co w tym złego? Raz, gdy z miasta wracałam, znalazłam przy torach. Uznał ktoś widać, że się nie przyda, zostawił, to zabrałam.

– Pod nogi trzeba umieć patrzeć – dodała zaraz ciotka. – Jeśli kto cierpliwy i czujny, nie takie skarby znajdzie.

– Wzdłuż torów się przechadzałaś i ciało znalazłaś?! – zawołała Maria.

– Ale nikt się nie kręcił – odparła matka. – Nikt mnie przy tym nie widział.

– A gdyby wszyscy tak ciała zbierali? Jak by świat wyglądał? Samo to, że coś leży, nie znaczy, że brać można! – Po chwili dodała: – No, i coście narobili? Bo ja z tego wszystkiego naprawdę umarłam.

– Przez siebie umarłaś, a nie, że przez to ciało – powiedziała ciotka.

– No już, już – odezwał się jeden z karawaniarzy. – Proszę się uspokoić. Źle wróży kłótnia na pogrzebie.

– A ta inna rodzina? Tamtego ciała rodzina? – spytała Maria. – Pewnie też czekają, też chcą wiedzieć.

– Niech czekają – odparła matka – ja też czekałam.

– No – powiedziała Maria, zwracając się do chłopca stojącego za ołtarzem – sam widzisz: to nie mnie chowają. Prędko mnie nie dostaniesz.

– A tak – odparło Bożątko, schowało zapalki, wytarło rączki o spodnie i zaczęło wolno schodzić z podwyższenia przy ołtarzu. – Bo będzie ze dwa dni, jak ciebie pochowali.

– Mnie?

– Tak – powiedziało, wyciągając rączkę.

– Jeśli przed dwoma dniami, to po co to wszystko?

– Nie wiem – odparło. – Tak po prostu. Wcześniej mi się nie chciało.

– Nie pójdę – powiedziała.

Chwyciło ją za rękę, wyszarpała zaraz.

– Nie chcę, nie pójdę. Zostaję z królikami.

– Nie chce i nie chce! – zawołała ciotka. – Wcześniej trzeba było myśleć, a nie: Bogu się teraz wzbraniać.

– Wszyscyście wiedzieli! – zawołała, odwracając się plecami.

– No – przyznała matka. – Chociaż nie od razu. Ale kiedy kurczątko u Różyłłów wskrzesił, no to jak nie wierzyć?

– Pójdź – powiedział pan Bóg, szukając jej dłoni.

– Niechże pani idzie – zawołał jeden z karawaniarzy. – On nie będzie prosił.

A drugi dodał:

– Gdybym to był ja na pani miejscu... – i urwał zaraz.

– Idźże – powiedziała ciotka. – Ty mu łaski nie robisz. – I zwracając się do matki: – Upartą masz córkę, o wszystko trzeba prosić.

– Ona tak w pierwszym odruchu – powiedziała matka. – Potem przemyśli sprawę.

– Mamo, ja nie chcę! – zawołała Maria.

– To tylko na chwilę – odparła matka. – Ani się obejrzysz.

Pan, który wie przez ciemną dolinę

– Cały dzień mnie męczy piosenka taka, a słów nie pamiętam.

– Psalm może jakiś? – odparł drugi anioł. – Kolęda?

Przez chwilę milczeli; pierwszy anioł z rękami założonymi na plecach stał przy oknie i spoglądał znużony na ziemię, drugi odstawił na parapet talerzyk z cukrem i maczał w nim zieloną lodygę rabarbaru.

– Nie chrup – powiedział pierwszy – drażni mnie, jak chrupiesz.

Usłyszeli kroki na schodach i spojrzeli na siebie. Ktoś szedł, stukając lekko, jakby ciągnąc jedną nogę za sobą.

– O – odezwał się drugi. – Chyba z nogą gorzej.

– Nie dba – powiedział pierwszy. – Nie oszczędza.

– Sól do buta wsypali – odparł drugi, obaj się uśmiechnęli. – Ktoś nie chce, żeby przyszedł na czas sądzić.

Stuknęło jeszcze kilka razy; ukazał im się pan Bóg: prowadził za rękę jakąś naburmuszoną kobietę.

– Ja to wszystko słyszałem – a zwracając się do Marii: – Nie może pani iść tak szybko. Mam chorą nogę i się męczę.

– Dobrze – odparła niechętnie, pomyślała, że teraz lepiej już nie podpadać. – Nie będę szła szybko.

Na drugim piętrze przywitał ich anioł w spranym błękitnym swetrze: jedno skrzydło miał gładko przeciągnięte przez dziurę na plecach, drugie tkwiło zwinięte wewnątrz siebie i jakby nieco nadłamane. Kiwnął im głową, ale się nie odezwał, odprowadził ich tylko znużonym wzrokiem i Maria pomyślała, że był to może jej anioł stróż. Weszli jeszcze dwa piętra wyżej i stanęli przed drzwiami, zza których burczał telewizor. Pan Bóg zapukał, otworzył im kolejny anioł.

– Jest? – spytał Bóg, na co tamten:

– Nie ma.

Przez moment przyglądał się Marii, po czym dodał:

– Ale zaraz będzie. Wyszła tylko na chwilę.

Znów uchylono drzwi, wyrżał inny anioł.

– To ta? – zapytał, na co ten pierwszy:

– Najwyraźniej. – I zwracając się do Marii: – To pani?

– Podobno drażniła pani patykiem święte figurki – powiedział drugi anioł. – Prawda to czy nie?

– Nikogo nie drażniłam – odparła Maria.

Pan Bóg zaczął powoli schodzić po schodach: słyszała jeden czysty dźwięk i zaraz po nim drugi, głuchy – dźwięk dostawianej nogi.

– Ja jeszcze nie umarłam.

– Zna pani sztajerka? – spytał drugi anioł i odwrócił się do pierwszego. – Zatańczylibyśmy może pani ze dwa czy trzy sztajerki, dopóki nie wróci.

– No? – rzekł ten pierwszy. – Chciałaby pani?

– Nienawidzę sztajerka.

Ktoś trzasnął drzwiami.

– Wróciła – powiedział pierwszy anioł; skinął na Marię i zniknął w pokoju.

– Proszę się nie bać – rzekł ten drugi, chwytając ją za ramię i prowadząc do drzwi. – Żartowaliśmy tylko. Wraca pani do matki.

– Do matki? – powtórzyła Maria, uśmiechnęła się.

A jednak, pomyślała, śniłam sobie śmierć, a teraz się obudzę.

Wprowadzili ją do jasnego pokoiku o żółtych tapetach z wzorkiem w srebrne kwiaty. Całą ścianę zajmowała potężna meblościanka: brązowa, połyskliwa, z kilkoma przeszklonymi szafkami, w których na ciężkich, dzierganych serwetkach stały: obrazek z Jezusem Miłosiernym, kryształowa popielnica wypełniona koralami, drewniany góralski domek służący za barometr: na deszcz w drzwiczkach pojawiał się góral, na słońce góralka. W kącie pod oknem na skórzanym fotelu okrytym kocem w kolorze wielbłądziej wełny siedziała Matka Boska. Miała na sobie białą podomkę zapinaną na ciasny szereg czerwonych plastikowych guzików, głowę okryła błękitną chusteczką zawiązaną ciasno pod szyją.

– Przepraszam – powiedział jeden z aniołów – ściszę może telewizor. – Sięgając po pilot, dodał zaraz: – Nie słyszy już za dobrze. Musi puszczać na full.

Zbliżył się do Matki Boskiej i chwilę coś jej tłumaczył. Maria odwróciła

się tyłem, udając, że nie słucha. Nad fotelem wisiała makatka: biała, przetykana granatową nicią, wyrysowano na niej chłopca w jednej skarpeteczce i dziwacznych bucikach zapinanych na guziki; ciągnął za sobą mały, płaski wózek wyładowany chlebem. „Dobre dziatki chluba matki” pisano pod spodem.

– Co?

– Patykiem figurki – powtórzył anioł usłużnie, podnosząc nieco głos.

Matka Boska oddaliła go ruchem ręki i skinęła na Marię.

– Pódź – powiedziała.

Przyglądała się jej przez chwilę bez zainteresowania, po czym sięgnęła po złożone na stole druty.

– Duża jest z ciebie dziewczyna. – I zwracając się do anioła: – Weź no mi podgłośnij. – I patrząc znów na Marię: – Bez przerwy ścisząją.

– Bo gra pani tak głośno, że na dole słychać – powiedziała Maria, siadając; tamta spojrzała na nią wrogo, wysuwając dolną wargę.

Przez chwilę siedziały bez słowa, patrząc sobie w oczy; Matka Boska sięgnęła powoli do kieszeni podomki, wyciągnęła maślanego herbatnika obramowanego ząbkami, włożyła go do ust i zaciamkała. Ilekroć udało jej się zmiążyć kolejny kawałek, patrzyła na Marię z wyrazem triumfu. Gdy skończyła, wytarła dłonie o oparcie fotela, znów sięgnęła po druty, do Marii zaś rzekła:

– Bier kłębuszek.

I podała jej złoty kłębek włóczki do robienia Jezusowych skarpet. Przez chwilę znów siedziały w milczeniu; anioł odchrząknął i zaczął powoli kierować się w stronę drzwi.

– Moment – powiedziała Maria. – I co dalej?

Na co tamten:

– Nic. I tak przez wieczność całą.

Organizacja snu w przedszkolu

– Znalazłem kosteczkę – powiedział nieznajomy, przysiadając na ławce. – Była w kształcie ucha. Przyłożyłem do ucha, powiedziała mi wtedy...

– Nie ma w uchu kości – odparł chłopiec.

Cień miał zbity i krępy, korpusik okrągły, szyję krótką, czubek głowy zwieńczony trzema postawionymi sztywno kosmykami, układającymi się w wachlarz niby papuzi pióropusz.

– Znalazłem kosteczkę, była w kształcie ucha. Zadała mi zagadkę, może i my zagramy?

– Nie – odparł chłopiec.

Z lewej, rzucając koślawy cień, nadchodziła kobieta. Miała na głowie berecik z antenką odstającą ukośnie jak szypułka jabłka.

– Pawle, dosyć – powiedziała. – Panu będzie przykro. To bardzo niegrzecznie tak obcym odmawiać.

– Zadała zagadkę, może chcesz usłyszeć? W mięsny garnku żelazo, cóż to jest takiego?

– A ręce umyłeś? – spytała kobieta. – Wtedy, po grzebaniu? Skoro w ziemi grzebałeś, trzeba umyć ręce. Na układ nerwowy...

– Trzeba słuchać uważnie: w mięsny garnku żelazo.

– Niech pan trochę poczeka, on musi umyć ręce.

– Nie ma w uchu kości – odezwał się chłopiec.

– Trzeba umyć rączki.

Cienie przesunęły się w kierunku balii z wodą, zajrzały do środka niczym do głębokiej studni, mignął cień drucika; pochylali się skośnie. To trwało tylko moment, wszystko nakrył jeden potężny cień o wydatnym nosie.

– Ja wiem? – odezwał się ciemny, niski głos. – Bo czy dzieci zrozumiały?

– O układzie nerwowym?

– Nie – odparł tamten. – Że trzeba myć ręce.

Prześcieradło zawieszona w sali do leżakowania odchyliło się niczym kurtyna, gęsiego przemknęły trzy sylwetki: na czele potężny mężczyzna w marynarce z pagonami, za nim dwie kobiety. Mężczyzna przyciskał do piersi osadzone na drucikach kukiełki.

– To, co dzieci mówią – powiedział, zaciągając prześcieradło – to można wymyślić. To nie jest najważniejsze. My się nie upieramy.

– Wymyślimy – odparła starsza z kobiet, spoglądając na koleżankę. – Wymyślimy, pewno. Tyle jeszcze spraw, które można poruszyć.

– Na przykład szczepienia.

– Szczepienia, picie tranu.

– To chyba bardziej dla rodziców – powiedziała ta młodsza, odwracając się do mężczyzny i zaglądając mu w oczy.

– W dzień przyjazdu teatru – odezwał się mężczyzna, podchodząc do stołu, na którym pozostawił skórzaną, niby lekarską torbę o usztywnianych uszach – można wysłać dzieci, wyposażyc w garnki. Niech obejdą wioskę i informują, że zajechał teatrzyk oświaty sanitarnej.

– Dobrze – powiedziała starsza – dobrze – i odwracając się do tej drugiej, dodała: – Zapamiętać, słyszy pani? Rozdać dzieciom garnki.

– Można jeszcze poruszyć kwestię odpoczynku – odezwała się druga kobieta, wpatrując się w mężczyznę. – To, że sen jest ważny. Że muszą spać same.

– Szczepionki, picie tranu – powiedział mężczyzna.

Otworzył torbę, wyciągnął pudełko śniadaniowe w kształcie okrągłej kromki chleba i schował do wewnątrz papierowe sylwetki: chłopca, pani w bereciku i mężczyzny z teczką. Obie kobiety wyciągnęły ręce po pudełko, ale żadnej z nich go nie wręczył, tylko odstawił na stół i docisnął wieczko. Wyszedł na korytarz.

– Ma być krótko, sprężyste. Żadnych monologów. O myciu rąk trzeba mówić prosto i jasno. Najpierw teatrzyk, tytułem, że tak powiem, wstępu, potem od razu zagonić do miski z mydlinami. I koniecznie drożna kolejka: niech dzieci się bawią, niech się rytmicznie poruszają, niech udają pociąg, niech bucują samoloty – urwał na moment i dodał: – Chodzi o to, żeby nie

czekały beczynnie. Podczas gdy część myje ręce, część, siedząc na wytartej podłodze, może cicho śpiewać piosenki. Gdy umywalnia jest ciasna, miska z mydlinami niewielka...

– My mamy umywalki – powiedziała prędko młodsza. – Mamy dogodności. Jest normalna łazienka.

– ...gdy miska mała, wychowawczyni może wysyłać dzieci kolejno, po kilkoro. Raz te, raz tamte. Pozostanie pani w sali zajęć, a mycia rąk niech dogląda przyuczona woźna.

Zatrzymał się w progu łazienki, postawił torbę i spojrzał krótko na drewnianą listwę z rzędem kolorowych ręczników zawieszonych na haczykach; nad każdym haczykiem przyklejono prostokątną karteczkę z wyrysowanym symbolem: osa, koza, szerszeń. Obok ustawiono duże drewniane liczydło, nad nim wisiała gazetka z rysunkami dzieci, jeszcze wyżej koślawe litery z różowego brystolu układały się w napis: „Jak wyobrażamy sobie chorych na krzywicę”. Tuż obok listwy umieszczono umywalki, umyślnie obniżone tak, aby mogły z nich korzystać dzieci; na każdej ze spłaszczonych krawędzi ułożono szarobiałą kostkę mydła, pokrytą brązowymi żyłkami. Czuć ją było rdzą i octem.

– A to? – zapytał mężczyzna. – Co to?

– Kran – odparła ta młodsza, podchodząc do niego. – Z tego leci woda.

Przez chwilę milczeli.

– Ot tak? – spytał po chwili, zbliżając się do umywalki; przekręcił kurek z gorącą wodą, podłożył rozwartą dłoń pod szary strumień i cofnął ją prędko.

– Tak, trzeba kurek przekręcić – powiedziała młodsza. – Ciepła, zimna.

– Co?

– Z czerwonego ciepła, z niebieskiego zimna. Trzeba kurek przekręcić, wtedy leci.

– I już zawsze tak? – dopytał, odkręcając i zakręcając.

– Tak – powiedziała dziewczyna. – Jeśli się przekręci.

Mężczyzna skinął głową, potem cofnął się o krok i jakby namyślał, w końcu podszedł bliżej i zaczął odkręcać białą gałkę z czerwoną kropką.

– Wezmę – powiedział, chowając ją do kieszeni. – Woda się zawsze przyda.

– Tak, oczywiście – odparła starsza, także podchodząc bliżej.

Odwróciła się do młodszej i wpatrywała w nią tak intensywnie, jak gdyby samym wzrokiem miała zamiar zatrzymać ją w miejscu.

– Proszę wziąć. Na zdrowie.

– No – powiedział, biorąc teczkę – to tymczasem. Mam zaraz szkolenie na plebanii.

Odprowadzały go wzrokiem, dopóki nie przystanął w progu i nie skinął im głową. Starsza podeszła do listwy z ręcznikami i krótkimi, gwałtownymi ruchami poprawiła je wszystkie tak, aby kończyły się na tej samej wysokości.

– Miły facet – powiedziała, przeglądając się szybko w lustrze nad umywalką. – Lubię, jak przychodzi.

Urwała na moment i przejrzała się dokładniej, naciskając wskazującym palcem czubek nosa.

– Czasami mi przynosił po jednej pralince. Ze trzy razy przyniósł. Byłby jeszcze dwa i nazbierałabym paczkę.

– Aha – powiedziała młodsza. – Trzeba zmienić gazetkę na bardziej zimową.

– Co?

– Trzeba zmienić gazetkę. Ja wiem? Święta idą. Ta krzywica już się chyba znudziła – urwała na moment, podeszła do choinki, trąciła gałązkę. – Niech malują owoce. Nie znam odświętnych chorób.

– Nie musi być z chorobą. Może być Piłsudski.

– Kiedy był ostatnio – powiedziała młodsza, podnosząc głowę – przyniósł mi cytrynę. Powiedział, że na choinkę, więc zaraz nawlekłam.

– Niech się pani nie cieszy – odparła tamta, wchodząc do świetlicy. – On miły dla wszystkich. On każdej przynosi.

Usłyszały głośnie, głuche tąpnięcie: wiatr się wzmógł, mróz zelżał i z dachu zsunęły się płaty śniegu. Dzieci odwróciły się w kierunku okna, jedno wskazało do góry. Mężczyzna z towarzystwa oświaty sanitarnej stał na ścieżce przed budynkiem i stawiał kołnierz płaszcza, zagadując przy tym jedną z opiekunek.

– Jest skarga na ciebie – powiedziała starsza. – Wiesz, kto napisał?

Młodsza wzruszyła ramionami, podeszła do gazetki i zaczęła odpinać

rysunki.

– Po wizytacji wpłynęła.

– Po jakiej wizytacji? – spytała młodsza z pinezką między zębami.

– No jak po jakiej?

– Z zeszłego tygodnia?

– Tak – powiedziała starsza. – Po zajęciach z muzyki. Pani Melodyjna wprowadziła nową piosenkę, miałaś ją zapisać i ponoć zapomniałaś.

– Ja znam tę piosenkę.

– Tu nie chodzi o to, czy znasz – odparła starsza, podchodząc do niej i odbierając rysunki. – Było polecenie, należało zapisać.

– Nie miałam kartki, naprawdę. Zupełnie zapomniałam, że przychodzi Melodyjna. Zupełnie zapomniałam. Musiałam się zamyślić. Chyba się zamyśliłam.

– Trzeba było zgłosić.

Otworzyły się drzwi. Weszło kilku chłopców w majtkach, skarpetkach i czarnych okularach o okrągłych szkiełkach. Za nimi, popędzając ich gęsim gestem, weszła opiekunka sali.

– Pani Marto – odezwała się starsza – czy pani dzisiaj miała być Jadalna?

– Nie – powiedziała młodsza. – To znaczy miałam, ale kiedy podali kakao...

– Skoro pani Jadalna, trzeba siedzieć na sali.

– Nie było gorącego, nie jadły nożami, pomyślałam...

– Boże, daj mi zdrowie – i zwracając się do chłopców: – No, już. W kółeczko, tak? Jak zawsze. Myk, myk.

Podeszła do szafki i wyciągnęła urządzenie przypominające nieco prodiż.

– Dzisiaj wyszło słońce – powiedziała Spacerowa. – Mróz zelżał. Niedługo śnieg stopnieje. Nie trzeba ich już naświetlać.

– Dzieci lubią naświetlanie – odparła kierowniczką i zwracając się do młodszej, dodała: – Skoro pani Jadalna, sprzątnie pani po śniadaniu.

– Słońce naturalne zdrowsze – ciągnęła Spacerowa. – Dzisiaj wyszło akurat. Mogłabym iść z nimi. Przez osmozę skorzystają... Tam w stronę plebanii.

– Proszę pani – zawołało jedno z dzieci – nie chcę stać koło Piotrusia!

– Nie, nie – odparła kierowniczką. – Jeszcze trzeba.

– Ja nie chcę się naświetlać z Piotrusiem, proszę pani!

– I tak rzadko przychodzi – powiedziała Spacerowa ze wzrokiem wbitym w podłogę. – Prawie nigdy nie zostaje.

– Ja wiem – powiedziała Jadalna. – Kiedyś zostawał, ale już nie zostaje. Nie ma się czym przejmować.

– Przecież Piotruś jest z mięsa, proszę pani!

– Nawet gdyby został – odezwała się Spacerowa, spoglądając za siebie; dzieci ustawiały się w kółeczku – to przecież nie dla mnie.

– Obojętnie – powiedziała tamta – obojętnie, naprawdę.

Weszła do jadalni. Zebrała naczynia z najbliższego stołu i zniosła je do okienka, z którego wydawano posiłki. Przez chwilę nasłuchiwała odgłosów z kuchni: bryznięła woda z kranu, ktoś drucianą gąbką szorował naczynie. Zastukała w okienko, po czym wróciła do zbierania naczyń. W pokoju obok kierowniczką i Spacerowa zapaliły lampę i dzieci zbliżyły się do niej tak, by znaleźć się w białym kręgu światła, które rzucała na podłogę. Okienko kuchenne pojaśniało, rozniósł się zapach gotowanych parówek i przypalonego mleka, mignęły granatowy fartuch w czerwone maki i nagie ramię kucharki skropione brązowymi pieprzykami różnego kształtu i rozmiaru, wyglądającymi z oddali niczym krople pestekówki.

– Witam – powiedziała. – Pani dzisiaj Jadalna?

– A tak – odparła Jadalna, pochylając się do okienka. – Bo wszystko zawaliłam.

Między kuchnią a częścią spizarni ustawiony był biały parawan z lekkiego drewna o sześciu skrzydłach obramowanych jakby złotą fugą. Na każdym wytłoczona była gałąź kwitnącej wiśni oklejona gdzieniegdzie naklejkami z Kaczorem Donaldem. Na kuchence stało sine wiadro o brzegach oblepionych strzępami żółtawego kozuska, obok na patelni smażył się szary kawał mięsa w kształcie pięści.

– Będzie barszcz dziś z rurą – powiedziała kucharka. – Barszczyk na talerzu, miękka kość w środku. Zupkę najpierw zjedzą, a potem albo szpik z kości wysną, albo rozmażą na chlebie.

– Pięknie, pani Jasiu.

– W kalendarzu wyczytałam.

Przed nią na blacie leżał kalendarz ścienny, zostało w nim może z dziesięć karteczek.

– Są wschody, zachody. Wszystko jest w kalendarzu.

– I co? – spytała Jadalna, odwracając się. – Tak codziennie?

– Co?

– Kartki pani zrywa?

– No – odparła tamta. – Chyba że zapomnę, wtedy następnego dnia dwie naraz.

– To się pani przynajmniej dni na coś przydają.

Kucharka wlała wrzątek do szklanki i dodała kawy, wrzucając ją na powierzchnię, jakby kładła lane kluski.

– Był dzisiaj?

– Kto?

– No przecież wie pani.

– Był.

– I co?

– Nic – odparła Jadalna, sięgając po sztućce. – Nie uśmiechał się, nie patrzył.

– Nie ten, to następny. Mnóstwo ich na świecie.

– Pewnie, pani Jasiu.

– Mnie też się nie chce wierzyć – powiedziała, upijając kawy. – Tak zupełnie nagle. Na przyszłość pamiętać: nigdy nie być sobą. Poznał panią lepiej i nagle mu przeszło.

Jadalna wróciła do zbierania naczyń. Kucharka podeszła do okienka i oparła się na łokciach.

– Znowu naświetlają?

– A tak – powiedziała Jadalna. – Żeby wyżej rosły.

– Nie rozumię tego – odparła tamta. – Na co komu duże dzieci?

Urwała na moment i upiła łyk kawy, po chwili dodała:

– Przyszedł do mnie w nocy.

Rozległ się dźwięk klaksonu. Przez bramę ośrodka przejechał biały volkswagen z uchwytem na rowery, za nim, po tropie pozostawionym przez

koła, dwoje dzieci z grupy popołudniowej gonilo drewniane obręcze. Panna Spacerowa, ująwszy się pod boki, besztala chłopca w czerwonej czapeczce z ogromnym pomponem; nie słuchał jej wcale, tylko kaszlał w przestrzeń, wyrzucając przed siebie białe kłęby pary.

– Co? – spytała Jadalna, odrywając wzrok od okna.

– Przyszedł do mnie w nocy – powtórzyła kucharka. – Ten jaśniutki chłopiec.

– Ten z porannej grupy?

– Tak – odparła tamta. – Ten taki z piegami.

Znów upiła łyk, po czym wysokim, zmienionym głosem dodała:

– „Ciocia, jest u mnie pod łóżkiem pan Jezus. Ja nie chcę spać sam”.

– Ktoś głupot nagadał – odparła Jadalna, podając talerze do okienka.

– „Dyrдай spać, kochanie” – odezwała się kucharka swoim głosem. – Tak mu powiedziałam. W rączkach trzymał papucie, nie chciał ich pod łóżkiem położyć.

Urwała na moment, żeby przełożyć talerze do zlewu, a gdy znowu wychyliła się przez okienko, oczy miała zmrużone.

– Trzeba sobie radzić – powiedziała – ja też sobie radzę. No, radzę sobie. I sobie poradziłam. Trzeba sobie radzić, nie? Zwłaszcza z małymi dziećmi. Powiedziałam mu: „Słuchaj, możemy to sprawdzić, obiecuję ci. Sprawdzimy i zobaczysz, że nikogo nie ma”.

– I dobrze – powiedziała Jadalna. – Dobrze pani powiedziała, nie ma przecież nikogo.

– I nie było, kiedyśmy zajrzeli. „Widzisz, mały – powiedziałam – można spać spokojnie. Jednak nie ma nikogo”.

– Aha – odparła Jadalna nieuważnie. – Jaki ten świat mały.

Z volkswagena wysiadł szpakowaty mężczyzna w szarej kurtce przeciwdeszczowej, obszedł samochód i otworzył drzwi po stronie pasażera. Panna Spacerowa zbliżyła się do niego i o coś spytała, wskazując głową grupę dzieci ustawionych w kółko i wykonujących przysiady. Z samochodu wysiadła starsza kobieta w płaszczu z farbowanej na czerwono skóry i podeszła do mężczyzny. Panna Spacerowa tłumaczyła im teraz coś obojgu, z lewej kieszonki płaszcza wyciągnęła cytrynę i podrzucała ją wysoko,

szeroko się przy tym uśmiechając.

– Ale bał się strasznie – powiedziała kucharka. – W kółko mi powtarzał: „Jest pod łóżkiem pan Jezus, chce mi wciągnąć kapcie”. Mówię: „Słuchaj, Piotruś, możesz zmówić paciorek, jeżeli się boisz. Na lęki różne paciorek pomaga”.

– Ale pani doradziła – odezwała się Jadalna. – Przecież przez modlitwę pan Jezus bardziej się nakreca. Będzie częściej przychodził.

– Wziął kapcie i wepchnął pod poduszkę. „Daj spokój”, powiedziałam, a on, że się boi. No to niech chowa. Jak się boi, niech śpi z kaptami. Nie można dziecka zmuszać.

Otworzyły się drzwi do sali, weszła kobieta w płaszczu.

– Dzień dobry – powiedziała – ja po Piotrusia.

– Musi pani poczekać – odparła Jadalna, podchodząc do niej bliżej. – Piotrek jest na naświetlaniach.

Przeszła przez korytarz, uchyliła drzwi do świetlicy. Lampka rzucała krąg światła na turecki dywan. Abażur był z białego, pomiętego papieru rozpiętego niedbale na drucianym stelażu w kształcie dzwonka. Z otworu na górze sterczała wydłużona żarówka. Opuszczono rolety i zaciągnięto grube, złote zasłony; na linii kręgu światła ustawiono pięciu czy sześciu chłopców w majtkach i ciemnych, okrągłych okularach. W kącie za drzwiami na rozkładanym fotelu leżała wyciągnięta sztywno kierowniczką. Dopiero gdy drzwi otwarły się tak szeroko, że wachlarz żółtego światła z zewnątrz niemal ją ogarnął, przesunęła spojrzenie w kierunku wchodzących.

– Jest babcia po Piotrusia – powiedziała Jadalna. – Piotrusiu, jest babcia.

– Przecież on się naświetla – odparła sennie kierowniczką.

– Niech już idzie, psze pani! – zawołało jedno z dzieci, ściągając okulary. – My go tutaj nie chcemy, bo Piotruś jest z mięsa.

Największy z chłopców, blondynek w granatowych majtkach, odwrócił się w stronę drzwi i zdjął okulary.

– Idę – powiedział. – Tylko wezmę rzeczy.

Jadalna włączyła górne światło; ani dzieci, ani kierowniczką nawet się nie poruszyli, tylko Piotruś, mrużąc oczy, podszedł do swojej szafki i wyciągnął z niej bawełniany worek zadrukowany w szachownicę. Odwrócił się tyłem do

drzwi i zaczął ubierać. Ruchy miał powolne, niezgrabne. Nie odrywał wzroku od plakatu przedstawiającego różne typy i rozmiary ran powstających przy obrażeniach kolan. Powyżej tłustą czcionką pisano: „Twardy bruk kamienny jest przyczyną złego”.

– Jeszcze masz w pokoju – powiedziała Jadalna i zwracając się do babci, dodała: – Jeszcze ma w pokoju swoje rzeczy. Ja panią zaprowadzę.

– Udana wycieczka? – spytała babcia, na co Piotruś kiwnął tylko głową. – Dobrze – powiedziała, odwracając się do Jadalnej. – Podoba mi się. Ładny ośrodek. Na dworze widziałam zabawy, dzieci poganiają rozweselające obręcze. Dobrze, dobrze. Niech gonią. Kiedyś im się to przyda.

Chłopiec podciągnął rajstopy, a potem podszedł do babci ze wzrokiem wbitym w ziemię. Kobieta pochyliła się nieco, wyciągnęła język i niczym niedźwiedzica polizała go kilka razy po głowie, tak by grzywka przyległa mu gładko do czoła.

– Ja pani pokażę – powiedziała Jadalna, starając się na to nie patrzeć – gdzie ten pokój jego.

– My sami znajdziemy.

Odczekała, aż znajdą się na schodach, a potem zamknęła drzwi do świetlicy i wróciła do zbierania talerzy. Kucharka siedziała teraz przy jednym ze stołów.

– Ja tak teraz myślę – powiedziała – o tym barszczu z rurą. Bo czy dzieci zjedzą?

– Pierwszy raz pani gotuje?

– Pierwszy raz z kalendarza.

Rozległy się kroki i po chwili nadeszła panna Spacerowa. Policzki miała różowe, pachniała mrozem i słodkimi perfumami. Nie zatrzymała się ani na moment, tylko spuściwszy wzrok, przeszła prędko do świetlicy i tam, starannie zamknąwszy za sobą drzwi, długo głosem jasnym z podniecenia tłumaczyła coś kierownicze.

– Nic innego już nie mam – powiedziała kucharka. – Pusta zupełnie lodówka. Nic a nic. – Na moment urwała. – Szkoda, że wraca do domu ten mały.

– Co?

– Szkoda, że wraca do domu ten mały. Dzieci o nim mówią, że jest z mięsa.

– Ależ ma pani pomysły – powiedziała Jadalna, odkładając ze szczękiem ostatnie talerze na stertę przy okienku. – Przecież wszyscy ludzie z mięsa.

Drzwi skrzypnęły i w jadalni znowu pojawiła się panna Spacerowa. Rumieńce na jej policzkach już nieco zbladły, ale wzrok miała jasny. Jedną rękę wsunęła niedbale do kieszeni kurtki, drugą rozcapierzoną dociskała do piersi.

– Fajne zajęcia? – spytała Jadalna, na co tamta skinęła tylko głową i przyśpieszyła kroku. – Ja przez okno widziałam.

– Tylkośmy rozmawiali.

Chciała jeszcze coś dodać, ale zamknęła usta, zerknęła za siebie, na Jadalną, a potem podeszła do choinki, trąciła jedną z gałęzi, na których kołysały się obwiązane kordonkiem cytryny i pomarańcze.

– Oddam – powiedziała – bo mi nie zależy. Po co mi? Oddam.

Wyszukała w kieszeni kurtki cytrynę obwiązaną fioletową wstążeczką, po czym zawiesiła ją niedbale na końcu jednej z najwyższych gałęzi.

– No – powiedziała. – Zawieszę. Niech się buja. Co mnie to? A bo ja prosiłam? Sam mi dał. Ja wcale nie chciałam.

– Mnie tam wszystko jedno – odparła Jadalna. – Ja tylko z okna widziałam.

Dało się słyszeć kroki na schodach: najpierw wolne, rytmiczne, jak odgłosy uderzania w bęben, potem drugie: drobne i pośpieszne.

– Babcia do niego gada cały dzień, a ten się nawet nie raczy odezwać, hrabia! – wołała starsza kobieta. – Do niczego nie dojdiesz, jak tak milczeć będziesz!

I zatrzymując się w progu jadalni, dodała:

– Schował kapcie, hrabia! Śpi z nimi pod poduszką! Wcale się nie dziwię, że nikt cię nie lubi!

– A wie pani dlaczego? – zapytała kucharka. – Bo bał się Jezusa, co pod łóżkiem siedzi. Pod łóżkiem mieć Jezusa, do czego to dochodzi! Ręce opadają, co się teraz wyprawia w tych ich głowach!

– Jak będziesz tak zmyślał, to pójdziesz do szpitala – powiedziała babcia,

popychając chłopca. – Po tośmy cię wysłali, żebyś nabrał nawyków! Żebyś się z dziećmi bawił!

– Nie chcą go dzieci wcale – doniosła kucharka. – Twierdzą, że jest z mięsa. Nikt nie chce z nim stać w parze.

– On tego Jezusa nie wymyślił – powiedziała prędko Jadalna. – To ja mu powiedziałam. Wracałam wczoraj do pokoju, dziecko też wracało. Był na piętrze mężczyzna, nie chciałam, żeby komuś powiedziało. Żadnych mężczyzn w pokojach po dwudziestej drugiej nie wolno, takie są nakazy. Nie chciałam, żeby doniosło, strasznie mu nagadałam, że jak będzie podsłuchiwało dorosłych, to przyjdzie do niego Jezus i mu kapcie zabierze.

– Jak pani nie wstyd? – powiedziała babcia. – Przecież pani dorosła!

Kucharka roześmiała się cicho i wróciła do kuchni. Starsza kobieta zagarnęła chłopca ramieniem i ruszyli razem w kierunku drzwi.

– Proszę pani – zawołała Spacerowa, twarz miała czerwoną – jeszcze przecież walizka!

Pomogła przenieść bagaż za próg, gdzie czekał szpakowaty mężczyzna. Nie odezwali się już do niej, tylko zeszli po schodach w milczeniu i wsiedli do samochodu. Drzwi do świetlicy uchyliły się i w progu stanęła kierowniczką, osłaniająca oczy odwykłe od światła.

– Ja wiem, co zrobimy – powiedziała. – Słyszysz, Marta? Ta gazetka z Piłsudskim to nie jest zły pomysł. Higiena, owoce, Piłsudski. Wszystko się jakoś składa.

– Ale co? – spytała Jadalna. – Że niby kazać im rysować?

– Albo z plasteliny, to już wszystko jedno.

Skinęła na kucharkę i razem zniknęły w kuchni.

– Nie ma plasteliny – powiedziała Jadalna. – Można może z bibuły?

– Może można – odparła Spacerowa.

Weszły do łazienki, Jadalna podsunęła krzeselko do ściany z gazetką, po czym wspięła się na nie i zaczęła ściągać rysunki. Pinezki wtykała równym rzędem wzdłuż drewnianej listwy. Spacerowa stanęła za nią i odbierała podsuwane kartki i litery. Dzieci z grupy popołudniowej weszły do świetlicy, jeden z chłopców – rudzielec w beżowych spodniach – wciąż pędził przed sobą obręcz. Zza okna dobiegł je warkot silnika, ktoś w kuchni puścił wodę

na nagrzaną patelnię, ktoś krzyczał w sali telewizyjnej: „Na Boga, Krzysiu, to jest żywe, tego się nie depcze”.

– Od dawna wiedziałaś? – spytała Spacerowa, podając jej trzy ostatnie litery, na co Jadalna, nie podnosząc nawet wzroku:

– A jakoś tak od razu.

Alergia na pióra pudrowe

– Babcia – powiedziała dziewczyna, stając na ostatnim stopniu schodów – ja bym wyszła może.

– Nie – odparła kobieta, schodząc za nią. – Dzisiaj już nie zdążysz.

Szarpnęła za suwak, pociągnęła go w dół i do siebie, jak gdyby zapuszczała mechanizm wewnątrz nakręcanej lalki; wąska, złota pręga zamka odcinała się od białej sukienki jak rybi kręgosłup.

– Dzisiaj już nie można. No bo co powiedzą?

– I tak na darmo przyszli – powiedziała dziewczyna.

Jedną rękę opuściła wzdłuż tułowia, drugą odchyliła, jakby dla utrzymania równowagi. Prawą nogę uniosła i wyprostowała w kolanie, na stopie obciążonej sztywno jak u baletnicy połyskiwał biało lakierowany bucik, przybrany na czubku okrągłym, bordowym plastrem kiełbasy, który podsuwała kotu.

– Babcia, ja bym jednak wyszła.

– Kot z buta nie weźmie – powiedziała kobieta. – On ma obyczaje.

– Wczoraj wziął – odparła tamta.

Dwoma palcami, jakby salutując, przytrzymała wianek z woskowanych liści i szarych róż z naddartego poliestru, spomiędzy których wystawały brunatne druciki wykręcone na końcach jak świńskie ogony.

– Babcia, ja bym jednak wyszła. Ja bym wyszła za męża.

– Wyjdiesz – odparła tamta. – Dziadek umrze, to wyjdiesz. Nie dziś, to kiedy indziej.

Znów szarpnęła za suwak.

– Do trzech piątych, nie dalej. Chyba jednak zepsuty. Idź i zdejmij kieckę. Nawet dobrze się stało. Co, rozpięta byś poszła? W kiece pogniecionej? Nawet dobrze się stało, żeśmy odwołali.

Odgarnęła dziewczynie włosy z ucha, przysunęła usta.

– Brata weźmiesz, słyszysz? Niech się nie pałęta.

– Ale wyjdę – powiedziała młoda, zaplatając ręce na piersiach. – Jutro, pojutrze najdalej.

– Brata weźmiesz, słyszysz? Żeby nie zobaczył.

Wzruszyła ramionami i zeskoczyła ze stopnia.

– Boluś! – zawołała. – Boluś!

Przeszła kilka kroków w kierunku ogródka. Nad płotem pokazała się mała, jasna głowa.

– Cho! – zawołał chłopiec. – Cho, zobacz! Ziemia paruje! Idzie z ziemi para!

– Dobra – powiedziała. – Idziemy do domu.

– Z ziemi paruje!

– Chodź, Boluś – powiedziała. – Lepsze ci pokażę.

Na policzkach miał bordowe wypieki pod kolor sweterka: lewy rumieniec okrągły i regularny, jakby wycięty kieliszkiem, prawy trójkątny, odwrócony szpicem do dołu.

– Teraz – powiedziała mu – masz być bardzo grzeczny. Bardzo grzeczny, słyszysz? Będiesz bardzo grzeczny, to ci coś pokażę.

Umilkła, odchyliła zasłonę w drzwiach prowadzących na ganek.

– Jak Bozia tańczy, mogę ci pokazać.

– Tańczy Bozia?

– A tak – odparła – na tym obrazku z Kaszubami.

Gdy przechodzili przez korytarz, wydało jej się, że wyczuwa delikatny zapach dymu uchodzącego ze zgaszonej świecy. Drzwi do kuchni były zamknięte. Za mleczną, matową szybą unosiła się kula światła lampy. Dobiegł ich czyjś śmiech, ktoś pośpiesznie coś tłumaczył.

– Nie wiem, po co włączyli światło – powiedziała dziewczyna, weszli do dużego pokoju. – Nie jest wcale tak ciemno. Nie potrzeba lampy.

Zbliżyli się do wersalki, na której zwykle sypiała babka. Zazwyczaj rano upychała pościel w wysuwanej skrzyni chowanej pod posłaniem i dziś tylko wyjątkowo zastali wszystko rozrzucone: wzdętą, błękitną pierzynę i prostokątną poduszkę w białej poszewce zapiętej niedbale na jeden

guziczek, tak że z obu stron – z dwóch bliźniaczych szczelin w kształcie migdałów – w jakiś zmysłowy sposób przypominający odkrytą filuternie część nagiego ciała wychylał się różowy jasieczek.

– Patrz na to – powiedziała dziewczyna i szarpnęła za prześcieradło, zrzucając pościel na ziemię i zaczynając ścielić.

Co rusz unosiła głowę i zerkła to na chłopca, to na wiszący nad łóżkiem święty obrazek.

– No, tańczy. Nie tańczy? Tańczy. Sam powiedz.

– E – odparł mały.

Zacząła ścielić łóżko gwałtowniej, szybciej, krótszymi ruchami – i rzeczywiście: wobec naporu powietrza wizerunek nad łóżkiem zaczął się kołysać. Był to duży obraz w złotobrunatnej ramie pokrytej prążkami rudawego nalotu, przywodzącego na myśl zeszkrobiny miedzianych monet. Obraz przedstawiał Jezusa i rybaków, sinoszarą kipieli spinaną białymi falami. Poprzez fiołkową parę nad powierzchnią wody pruła łódka boża: figlarny stateczek z orzechowych desek.

– Nie tańczy – powiedział mały, wkładając palce do ust. – Buja, a nie tańczy.

– Tańczy – powiedziała. – Na swój sposób tańczy. Czegoś się spodziewał? Chwyła go za rękę i trzepnęła lekko.

– No – dodała – a teraz trzeba się pomodlić.

– E – odparł mały. – Mnie się nudzi modlić.

– Trzeba – powiedziała. – Żeby nie umierał. No, pochylmy głowy.

Uklękli oboje przy zasłanej wersalce. Chłopiec przeżegnał się powoli i złożył starannie ręce, prostując palce i zakładając kciuki tak, by się krzyżowały. Dziewczyna musnęła czoło i dolną wargę wskazującym palcem. Przez chwilę milczeli.

Ach, pomyślała, podnosząc wzrok na obrazek, tak wyjść sobie za mąż jak normalny człowiek. Tak rodzinę założyć, jaką samemu się miało. Tak na świat sprowadzić nowych domowników, niechby zasiedli przy stole – komu to przeszkadzało? Ale nie dali jej szansy, nie, znów wszystko się odwlecze. Jutro, pojutrze pójdzie do parafii, spyta, czy są terminy, na co jej powiedzą: ach, proszę pani! I pójdzie zapytać orkiestrę, powie: gdyby to ode mnie

zależało, w sobotę byście zagrali. Wyjaśni: to wszystko tak nagle, nie dało się przewidzieć. Bo jakże? W sobotę jeszcze siedział na ławce przy płocie, według podręcznika do naprawiania zegarów rozkręcał pęsetką gołębia. To było nagłe załamanie. I czy ona winna? Ach, powiedzą tamci, niewinna. Zmienimy termin, proszę tylko powiedzieć: ile tej żałoby? Bo żałobę trza odczekać – i nie tydzień, ale więcej. Co najmniej dwa. Babka jej nie mówiła jeszcze, żeby jej nie smucić. A przecież wszystko dałoby się załatwić inaczej, pomyślała, wypuszczając głośno powietrze; jeśli już chciał umrzeć, mógł zabrać się do tego wcześniej, a nie zostawiać konania – jak zawsze wszystkiego – na ostatnią chwilę. Miała do niego żal, bo dziadek zawsze z ogniem gadał i ogień mu zdradzał różne tajemnice – że zwierzę umrze u niego albo u sąsiada. Dawał czas, żeby się przygotować: znaleźć nożyk, pęsetkę, *Mechanizmy zegarowe* Mrugalskiego, wedle których dziadek przeprowadzał wszystkie operacje, bo ogień go przekonał, że zwierzęta to w gruncie rzeczy takie same urządzenia jak zegary. Brał więc dziadek torbę lekarską, brał psa i podążali razem po wietrzejących śladach albo wedle wezwań tego czy innego sąsiada, który ocenił, że tym razem nie ma sensu wzywać weterynarza. Brał więc dziadek do ręki scyzoryk, brał do ręki pęsetkę, kiwał na gospodarza i razem zaglądali. Niech pan spojrzy – mówił – niby orli żołądek, a w środku żaby: czy to są, proszę pana, treści godne drapieznika? Nieraz widywała, jak stawał przy piecu – zwłaszcza gdy dzień był senny i nic się nie działo – i albo głowę przykładał do żeliwnych drzwiczek i odsuwał dopiero, kiedy skroń naciągnęła ukropem aż do czerwoności, albo uchylał drzwiczki i niby to przykładał ucho do uchodzącego dymu; ogień opowiadał: „Było sobie w lesie umierające zwierzę”. Za każdym razem, kiedy konał, wspominał te szczęśliwe chwile spędzone nad otwartym, parującym ciałem. Kazał sobie przynosić scyzoryk kelnerski albo mały nożyk o zakrzywionym ostrzu, którego używał do strugania ołówków, i kładł go przy sobie, tuż obok poduszki, a potem co rusz pieszczotliwie muskał kciukiem.

Ale o tym, że to dzisiaj, ogień ci nie powiedział, pomyślała. O wszystkim ci mówił, a to jedno zataił. Nie byliście już może takimi przyjaciółmi.

– Ktoś rzuca w szybę kamieniami – odezwał się mały.

– Ja sprawdzę – powiedziała, wstając. – Ty się módl, słyszysz? Żeby nie umierał.

Podeszła do okna i rozsunęła zasłony.

Z jedną nogą wspartą o ozdobne kamienie, którymi babka grodziła kwiatowe narośle, z ręką w kieszeni czarnych spodni, w białej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem i obluzowanym krawatem o krągłym i szerokim węźle stał pan młody i drobnymi, szarymi ząbkami obgryzał głowę cukrowego baranka.

– Ja dzisiaj nie wyjdę – powiedziała, otwierając okno.

– Ja wiem – odparł. – Od razu wiedziałem.

– Ale cię kocham, wiesz? Kocham cię bardzo, bardzo.

– Ja ciebie też – odparł. – I też bardzo, bardzo.

Urwał na moment, ostukał palcem łeb baranka. Z kupra sterczał mu pionowo plastikowy maszt zakończony czerwoną chorągwią.

– Słuchaj – odezwał się po chwili – on jeszcze umiera?

– Ta – powiedziała. – I trochę mu to zajmie.

Odwróciła się na chwilę, jakby sprawdzając, czy nikt nie słyszy, po czym przechylając się mocniej ponad parapetem, powiedziała:

– Jeśli chcesz, możesz wejść na górę.

– Nie chcę – powiedział. – Po co? Tu mam swoje sprawy.

– On umiera u siebie, nie musisz oglądać.

– E, tak po prostu iść i włączyć, ja wiem? Na co to komu?

– Ja porozmawiam z księdzem – powiedziała. – Z orkiestrą porozmawiam.

Wszystko się da załatwić.

– Ja wiem. Mnie to nie martwi. Co się odwlecze i tak dalej. Nie ma się co śpieszyć.

Przez chwilę niczym wiewiórka zeskrobywał zębami barwiony pysk baranka: czerwony ludzki uśmiech, okrągłe rumieńce.

– Słuchaj – powiedział, podnosząc nagle głowę – na którą stronę ma okna?

– Ja wiem? Nie wiem. Na północ.

– Był tu przed chwilą pies – powiedział chłopak. – Zdaje się, że wasz. Spotkałem go przed bramą. Furtka była otwarta i...

- To nie mógł być nasz. Myśmy naszego uspili.
- Był wasz – powiedział – ja rozpoznałem.
- To nie mógł być nasz – powtórzyła. – Dwa miesiące temu uspiony.
- Może nie wie?
- To nie wejdiesz? – spytała.

Usłyszała szybkie kroki na korytarzu i pośpiesznie, bez wyjaśnień zatrzęsła okno. Drzwi się otwały i w progu stała matka. Wokół jej nóg, niby w pościgu za ogonem, kręcił się biały sznaucer. Czuć było wilgotną sierścią, jakby na chwilę przed deszczem.

- Idź stąd – wołała matka. – No już, paszoł won, wynocha! Zobacz no!

Chłopiec przeżegnał się prędko i poderwał na nogi, dziewczyna podeszła do niego i chwyciła kępkę włosów odstających na czubku głowy.

– Jego wina, mamó! – zawołała, ciągnąc go za włosy. – O coś się miał modlić? Ja mówiłam, mamó, za dziadka miał się modlić! Miał się za dziadka modlić, żeby nie umierał! O co się modliłeś?

- Wrócił! – zawołał Bolek. – Wrócił Jacek!

– Nie śmiesz go dotykać – powiedziała matka. – Nie śmiesz się z nim bawić!

Skinęła na psa i pogwizdując, próbowała go wyprowadzić, ale tamten już dopadł do chłopca i merdając, obskakiwał go radośnie, za każdym razem przenikając wskroś niego.

- I coś ty narobił? – krzyknęła dziewczyna. – Mama, jego wina!
- Paszoł won! – zawołała matka. – Wynocha!

I odwróciwszy się w kierunku kuchni, krzyknęła:

- Mamó, pies nam wrócił! Dzieci wymodliły!

– Nie mów „dzieci”, skoro to on zrobił – powiedziała dziewczyna. – Zawsze mówisz: „dzieci zrobiły”.

- Ja nic nie zrobiłem – odezwał się chłopiec.

Pies okrążył go jeszcze raz, machając ogonem, po czym wypadł na korytarz i pomknął w stronę schodów.

– Jak na złość teraz, kiedy dziadkowi nie można przeszkadzać – powiedziała matka. – Idźcie, babci powiedzcie, może razem jakoś...

Dziewczyna wzruszyła ramionami, skinęła na chłopca i przeszli

korytarzem aż ku zamkniętym drzwiom prowadzącym do kuchni, ku białej kuli światła.

Ale zanim: stół kuchenny przysunięto do ściany, a na środku kuchni, na haku pod sufitem, na cienkim kordonku zawieszono pszenną bułkę. Z rękami założonymi na plecach i z zadartą brodą skakał ku niej ksiądz proboszcz.

– Obniżcie – wołał – niechże ktoś obniży! Nie da się przecież trącić!

– Ksiądz prawie sięgnął – krzyknął ktoś spod ściany. – Trącił nosem prawie. Dajmy księdzu jeszcze chwilę.

Cmoknął korek, ktoś otworzył likier brzoskwiniowy. Mężczyzna w koronie ze sreberka podsunął kieliszek. Na dziadkowym fotelu siedział teraz Biały Jan, albinos, akordeonista pedałowaty. Na podłokietniku po prawej stronie przysiadła jego żona: tęga i ospała, w ciemnej sukience w kratę. Na kolanach – niczym hafciarka tamborek – trzymała sztywno płaski bębenek o naciągu z cielej skóry pokrytej gęsto hebrajskimi literami.

– Już nie udawajcie – mówił mężczyzna w koronie – żeście święci byli. Ja starego pamiętam, to był wielki łobuz. Rękę miał ciężką, a nie znał się na niczym, zwierzęta bebeszył.

– Miał taki ulubiony zegar – powiedziała babka i poruszyła dłonią. – Jeśli rozkołysać... tak, o, szło wahadło. Pięknie kołysało. A jak dzwonił czysto. Gdzieś się nam zagubił, jak nas przesiedlali.

– To go nie tłumaczy.

– Szukał podobieństwa, bo ktoś mu nagadał, że zwierzęta to takie same urządzenia jak zegary.

– I on miał innych uczyć... Boże, daj mi zdrowie!

– Niech już ksiądz tak tą bułką nie kołysze – powiedziała babka, kładąc ręce na biodrach. – Nie można się skupić. Po co wam to wszystko?

– A tak gramy sobie – odparł proboszcz zdyszany. – W łaskawego sługę. W umierającego króla. Jeśli trącę nosem...

– Myśmy chcieli zagrać – poskarżył się Biały Jan. – Chcieliśmy zagrać piosenki, ale nam nie dali. Nic nie powiedzieli, nic nie wiemy, czy grać?

– Nie ma żadnego wesela – odparła babka. – Tyle razy powtarzałam.

– Mówili, że będzie tu co do grania.

– Grać można – odparł proboszcz. – Tylko innymi dźwiękami.

- Ja posępnego nie gram.
- To nie będziecie nic grali.

Drzwi do kuchni się uchylły i stanęła w nich dziewczyna, za nią cował się chłopiec; przeciąg wydał firanę i zatrzasnął okno.

– Wrócił Jacek – powiedziała dziewczyna. – Bolek go sprowadził!

– Ja nic nie zrobiłem!

– To nie mógł być Jacek – odparła babka i zerkając na gości: – Jacka żeśmy przecież uśpili.

– To dobrze – odparł proboszcz. – To proszę się nie martwić. Niech mi ktoś pomoże oblużować bułkę.

– Poszedł na górę – powiedziała dziewczyna. – Chce się przywitać z dziadkiem.

Na moment urwała.

– Niech już ksiądz nie buja. Mam do księdza sprawę. Ten ślub dzisiejszy... i data kolejna... żeby nie było znowu za długie czekanie.

– Ale wpięrw żałoba – odparł proboszcz, przystając.

Wyciągnął rękę i kilka razy spróbował chwycić bułkę. Za każdym razem mu umykała, a on obracał się wokół swojej osi, kręcąc się głupio jak pies za ogonem.

– Wcześniej nie wypada.

– A ile po dziadku?

– Ja wiem? – odparł tamten, odwiązując bułkę. – Nie wiem. Co łaska. Ile by pani chciała?

– Jutro choćby.

– Nie – odezwała się babka. – Jutro nie wypada.

Podniosła pokrywkę, wypuszczając parę, która rozwinęła się w górę prędko jak sprężyna.

– Zjedlibyśmy może?

– Nie jesteśmy głodni.

– Ja mam tutaj bułeczkę, mnie bułeczka starczy – powiedział ksiądz.

– A, nagotuję wrzátku – odparła babka – zjemy.

Skinęła na dziewczynę, żeby podeszła bliżej. Podała jej pokrywkę, sama zaś przyklękła i długo szukała w szafce małego słoiczka po majonezie

z wpółoderwaną granatową etykietą, w którym trzymała sól. Gdzieś na górze uchylono drzwi, dało się słyszeć odgłosy stąpania: ktoś jakby wyszedł prędko z pokoju, ale w połowie drogi zmienił zdanie, zatrzymał się i zawrócił.

– Patrz – powiedziała, wstając – leci mi z nosa, a ja nic nie czuję. Dziadkowi też leciało, a nigdy nie zauważał. Wtedy się dziwowałam, a teraz już rozumiem.

– Nic babci nie leci.

– Ktoś chyba woła na górze – odezwał się chłopiec.

– Ty zostań, Boluś, słyszysz? – powiedziała babka, wycierając dłonie w spódnice. – Boluś niech zostanie, ale ty możesz iść z nami.

Zaszurano krzesłami, goście powstawali.

– Ja przecież wiem – powiedziała.

Udała, że ściera palcem brązowy ślad w kształcie sierpa na białym blacie kuchennej szafki. Jeden ślad, za nim drugi, trzeci; każdy kolejny nieco mniejszy i zawierający się w poprzednim niby kręgi na wodzie. Ostatni przecinała wąska pręga: ślad po nacięciu nożem. Pomyślała o rycinie z pierwszej strony podręcznika do naprawy zegarów, na której dziadek zwykle otwierał książkę i przy której trzymał czarno-białe pióro ptasie, na wysokości dudki przyklejone do strony brązową taśmą do sklejanie kartonów. Rysunek przedstawiał wychwyty cofający zamontowany przy zegarku kieszonkowym, pod spodem przytaczano długie wzory, które dziadek czasem spisywał na blacie stołu lub gazecie, zamieniając symbole na cyfry według sobie tylko znanego sposobu.

– Muszę zostać – powiedziała do chłopca – bo się wrzątek przypali. Dogotuję wodę i pójdę jak wszyscy.

– To pomódlmy się może – odparł tamten. – Do obrazka z Kaszubami.

Zmoczyła ściereczkę i udała, że z wielką starannością wyciera brunatne pręgi z blatu; ustępowały od razu ku jej rozczarowaniu.

– Jakby po syropie – powiedziała. – Jakby cukier ktoś gotował – i odwracając się do chłopca: – Gotowaliście cukier? Robiliście karmelek?

Nie odpowiedział jej, a kiedy się odwróciła, zobaczyła, że klęczy między dwoma krzesłami z porządnie złożonymi rękami i buzią zwróconą w kierunku kalendarza z logo ochotniczej straży pożarnej i dwiema

cysternami.

– Gotowaliście cukier? – powtórzyła.

Chłopiec pokręcił głową, więc pochyliła się znowu nad blatem, chuchnęła na zadrapanie. Znow dało się słyszeć czyjeś kroki na górze, gdzieś skrzypnęły drzwi, a kiedy podniosła wzrok, zobaczyła babkę wracającą ze składziku za domem. Jedną ręką zakrywała sobie usta, w drugiej – między kciukiem a palcem wskazującym – niosła parę czarnych męskich mokasynów, które dziadek wkładał na specjalne okazje.

Ołówek, siekierka, kijek

Jakże pięknie było na wsi! Jesień była w pełni!

Żółciły się liście, dojrzewały jabłka; w cieniu papierówki, wzdłuż jego konturu przechadzały się dwie kobiety w identycznych sukienkach z białej wełny. Każda niby łyżkę, na której kołysze się jajko, niosła przed sobą lusterko, a w nim pochwycone ukradkiem spojrzenia mężczyzn pracujących w polu. Gdy któraś się zachwiała albo gdy wiatr zawiał mocniej, druga przystawała natychmiast i odwracając się do tamtej, krzyczała:

– Doniesie? Nie doniesie?

Codziennie po śniadaniu zakradały się na niewielkie wzniesienie koło kartofliska i leżały tam godzinami obok siebie, wsparte na łokciach i z dłońmi złożonymi pod brodą. Ledwo któryś z mężczyzn odwrócił się w ich stronę, podnosiły płaskie drewniane szczotki, do których na odwrocie umocowane były owalne lusterka, i manipulując nimi, obracając pod różnym kątem, próbowały złapać jego spojrzenie. Gdy im się to udało, ustawiały lusterka zupełnie płasko, taflą w stronę nieba, i odnosiły do domu, uważając, by nagły ruch czy podmuch wiatru nie zmąciły odbicia tak, jak mącą powierzchnię wody.

Kilka metrów dalej dwóch mężczyzn rozkładało na ścianie stodoły winylowe tło fotograficzne o dużym połysku. Jedna jego strona była ciemnoczerwona, druga, w sepia, przedstawiała Akropol wynurzający się z beżowych kłębow pary.

– Ja wiem? – powiedział wyższy, odsuwając się kilka kroków od ściany. – Nie wiem. Lepsze chyba czerwone.

– Czerwonego nie chcę – odparł drugi. – To z ruiną albo żadne.

– Goła ściana też by była dobra.

– To nie będę pozował – oparł tło o ścianę i odszedł parę kroków

w kierunku pola, a potem umyślnie odwracając się tyłem do tamtego, wyciągnął z kieszeni papierową torebkę i rozwinął ją powoli. – Ja się nie muszę na wszystko zgadzać. Moje gospodarstwo, moi chorzy nerwowo.

Jedna z kobiet pracujących w polu wyprostowała się i przyciskając do brzucha kilka ziemniaków, podeszła do dużego wiklinowego kosza stojącego na miedzy.

– To może na tle pola? – spytał wyższy.

Na szyi dyndał mu aparat.

– Będzie bardziej do tekstu. Pan nieco profilem, wsparty jakby o kamień, a gdzieś w tle, za plecami uwijają się chorzy.

– Ja wiem? – odparł tamten, pojadając z torebki. – Nie wiem.

Przez chwilę stali w milczeniu, spoglądając na pole. Jedna z kobiet przebierających ziemniaki – krępa, w beżowej wiatrówce i dżinsowych spodniach z wysokim stanem – wyprostowała się gwałtownie, a potem z wypiętymi piersiami i rękami sztywno opuszczonymi wzdłuż tułowia krzyknęła:

– Panie gospodarzu, dopuściłam złego! Dopuściłam złego ziemniaka! Jezu, dopuściłam złego ziemniaka! Dopuściłam złego ziemniaka, panie gospodarzu! Dopuściłam złego!

– Po prawdzie to współczuję z tymi wariatami... – powiedział fotograf.

– To nie są wariaci – odparł gospodarz, podsuwając mu torebkę. – To są chorzy nerwowo.

– Nawet za dopłatą...

– Z polecenia ich wzięłem znajomego psychiatry. Nie mieli wolnych łóżek, musieli ich jakoś rozlokować. Powiedziałem: wezmę, ale niech pracują. Nie ma nic za darmo.

– No – powiedział fotograf – i fajno. Praca jest ku zdrowiu.

Od strony pszczeliska szli ksiądz i ministrant, obaj w brązowych kurtkach z goretexu, spod których wychylały się białe skrawki komży. W oknie kuchennym na moment rozsunięto firanki i po chwili tęga kobieta w sztywnej, błyszczącej sukience wybiegła na dwór, niosąc przed sobą plastikową miednicę na pranie, pomalowaną na żółto w sposób tak niedbały, że widać było zaschnięte pęcherzyki wzbierającej farby. Proboszcz odwrócił

się do ministranta, o coś go zagadnął, tamten kiwnął głową i obaj krótko się zaśmiali. Kobieta w sztywnej sukience nie spuszczała z nich wzroku i ledwo przesunęli się w stronę lasu, już dreptała za nimi, wskazując palcem w ziemię. Zabawiała się przy tym krążkiem wosku, który przesuwała między palcami jednej ręki tak, jak to robią z żetonami w kasynie zręczni krupierzy.

– Na świętego Błażeja – powiedział ksiądz – będzie msza w niedzielę.

– Ja wiem. Pamiętamy. Przyniesiemy wota.

Kobieta zrobiła kilka kroków w stronę pola, a potem podniosła ręce do ust niby trąbkę i zawołała wysokim głosem:

– Już marchew podano!

– No, to chce pan w końcu? – zapytał fotograf, włączając znów aparat.

– Tak – odparł gospodarz. – Ale z Akropolem. Musi być Akropol. Nie ma Akropolu, nie będzie wywiadu.

Chorzy nerwowo zbliżyli się do stołu. W miednicy leżała sterta marchwi, bulwiastej i wciąż brudnej od ziemi. Oczyszczali ją naprędce o spodnie i koszule i maczali w miodzie, spoglądając obojętnie to na gospodarza pozującego na tle Akropolu, to na proboszcza krążącego po pszczelisku z kropidłem i wodą święconą w plastikowym, czerwonym opakowaniu po sosie cygańskim Winiary.

– A po południu – powiedział jeden z chorych – przy dobrej pogodzie będę uczył koguta nienawiści.

– Nienawiści koguta można nauczyć przy każdej pogodzie – odparł mu drugi, obgryzając marchew wzdłuż, jakby grał na harmonijce. – Wziąć od kobiet lustro i odbicie mu pokazać. Ja też, jak w lustro spoglądam, to się nienawidzę.

– Do walk go przyuczam.

– Do walk to się nada.

– A ci? – spytał trzeci, pulsowało mu oko. – Po co tu przyszli?

– Trzeba było poświęcić teren pod pszczelisko.

Ksiądz i ministrant skończyli obchód. Gospodyni odprowadziła ich aż do podestu za bramą i kiedy już miała wracać, zatrzymał się przy niej samochód. Uchyliły się drzwi od strony kierowcy, ten coś jej szybko objaśnił, na co ona skinęła i otworzyła bramę, potem zaś wolnym i dostojnym krokiem, niczym

bębniarz na czele pochodu, wprowadziła samochód aż pod ścianę stodoły. Chorzy obserwowali to wszystko zza stołu, obgryzając marchew: samochód minął ich powolutku, po szybie przesunęła się biała pręga światła.

Przedstawił się im jako ten, który umie chodzić wokół pszczół, nie podał imienia. Głowę miał ogoloną, czoło niskie, czerwone, wargi zaciśnięte i o dziwnym kształcie – kiedy je rozchyłał, przywodziły na myśl małe usta dziecka. Nie miał żadnego bagażu, tylko toból z ciasno zrolowaną pościelą. Następnego dnia kobiety w białych sukienkach z wełny przeniosły się na łowy nieco bliżej pszczeliska, po trzech dniach dołączyły do nich jeszcze dwie – małe, piegowate blondynki pachnące truskawkami – po tygodniu zaś ciemną ziemię, na której stały ule, co rusz przecinały białe plamy światła, jak gdyby unosił się nad nią cały rój świetlików.

Gdy skończono wykopki, kobietę w wiatrówce przeniesiono do sklepu spożywczego, należącego do żony gospodarza. Spędzała tam popołudnia, ukryta za ladą. We wtorki około trzynastej przychodził listonosz. Przynosił gazetę, którą musiała nawinąć na długi kij wykradzony z kawiarni i podwiesić na haku nad owocami. W środę przywożono cukier: dwie potężne bryły o szarym połysku. Sięgała wtedy po małą srebrną siekierkę i rąbała głowy na wiele kanciastych kawałków. Klienci pojawiali się rzadko, większość czasu spędzała zupełnie sama, obrysowując ołówkiem twarze ze starych gazet albo czytając wiadomości lokalne – kładła potem głowę na sklepowej wadze i odważając dokładnie, sprawdzała, ile z nich zrozumiała i czy głowę ma cięższą.

Dwa dni po świętym Błażeju, gdy nawlekała gazetę na kawiarniany kijek, usłyszała kroki na schodach i ledwo zdążyła przegonić muchy, które już obsiadły mięso w witrynce, kiedy w drzwiach stanął mężczyzna, który umiał chodzić wokół pszczół.

– Z kawiarni żeście zabrali – powiedział, wskazując palcem na kij. – Skarżyli mi się niedawno. Ktoś zostawił gazetę, a ukradł kijek.

– Mają jeszcze ze cztery – odparła, czerwieniąc się. – A myśmy nie mieli żadnego. No bo jak to? Gazetę tak samą zostawić? Tak puścić bez kija? Żeby wynosili?

Wzruszył ramionami, wsunął do ust papierosa i potarł zapałką o framugę.

Odwiesiła gazetę na hak nad owocami, a potem starannie rozprostowała stronę tytułową.

– Mięso jakieś macie? – spytał, odpalając papierosa.

– Z mięs tylko rąbanka.

– Co?

– Z mięs rąbanka wieprzowa.

Wyciągnął z kieszeni paczkę zapalek i zapalał jedną po drugiej, umyślnie pocierając je o coraz bardziej niemożliwe miejsca: podeszwę buta, plastikową skrzynkę, szybę nad wystawką z mięsem.

– No – powiedziała, nie patrząc mu w oczy. – Co znowu?

– Siarniki – odparł niedbale.

– I tak w każdym miejscu?

– A tak – powiedział. – W każdym i o wszystko.

Udał, że ogląda konserwy drobiowe, ułożone rzędem na półce za ladą. Tuż nad nimi zawieszona była kraciasta ściereczka i okrągłe lustro, odwrócone taflą do ściany. Przez chwilę się im przyglądał, przenosząc wzrok to na lustro, to na nią – spostrzegła to od razu i poczerwieniała.

– Kogut się od tego nauczył nienawiści – powiedziała.

– Kogut tak – odparł – ale pani ładna przecież.

Obszedł ladę sklepową i zbliżył się do wystawki, niby obojętnie potarł zapalną o swój gładko ogolony policzek; prysnęło żółte światło.

– A tam – powiedziała, czerwieniejąc jeszcze mocniej. Dotknęła spodem dłoni czoła, czubka nosa, brody. – Czoło niskie, nos krótki.

– Ładna, ładna – odparł, zaglądając jej w oczy.

– Czoło niskie, nos krótki.

Odłożył zapalną i wyciągnął z kieszeni kurtki papierową torebkę. Rozwinął ją i podsunął dziewczynie.

– Krajanka? – spytała, zaglądając do środka.

– A różnie – odparł. – Głównie okruszyny. Cebulak, chałeczka, trochę ciasta wiśniowego. Ile im zostaje, tyle mi dają. Lubię sobie pogryzać.

– I co?

– Co?

– Wejść z ulicy wystarczy?

– A tak – odparł. – Pewno. I ładnie się uśmiechnąć.

– Tak – powiedziała, nie podnosząc wzroku. – Dla pana żadna sztuka. Ładnie się uśmiechnąć i wszystko pan dostaje.

– A tam – odparł, pochylając się nad wystawką z mięsem.

Żółte światło z lodówki oświetliło mu profil.

– Można dotknąć? – zapytał. – Nie dla siebie szukam. Dla pszczoł potrzebuję.

– Tak – odparła, czerwieniejąc znowu. – Można patrzeć, dotknąć.

Przesunął dłonią delikatnie po różowym mięsie przecinanym gdzieś białymi pasmami. Badał kciukiem szaroróżowy zarys żeber, przesunął po nich z góry na dół, jakby szarpał struny, wierzchem palców głaskał linię kręgosłupa i równoległe pasowe wgłębienie przepasane smugami beżowego tłuszczu i brązowych włókien, obszywających mięśnie grzbietu niby ścięgi dratwy, muskał fałdy mięsa naruszone nożem, składające się – gdy je ścisnąć – w łódeczkę wykończoną okrągłym zgrubieniem.

Tego samego dnia objaśnił jej wielką tajemnicę: pszczoły rodzą się z surowego mięsa albo jedna z drugiej.

– Nie są specjalnie ufne – powiedział. – Długo się oswiają. Chyba że coś je opęta. Wtedy od razu do siebie dopuszczają.

Poszli na spacer wzdłuż pola, w górę, aż pod sam las, gdzie trawa sięgała kolan. Dał jej wtedy długopis, ona też mu coś dała.

Jakże pięknie było na wsi! Zima była w pełni!

Bielły się pola, lód kładł się na stawie; w cieniu papierówki, wzdłuż jego konturu przechadzały się dwie kobiety w luźnych sukienkach z białej wełny. Każda niby łyżkę, na której kołysze się jajko, niosła przed sobą twardy i wypukły brzusek. Gdy któraś się zachwiała albo gdy wiatr zawiął mocniej, druga natychmiast przystawała i odwracając się do tamtej, krzyczała:

– Donosi? Nie donosi?

Na czas przygotowań do zabawy sylwestrowej przybudówkę koło stodoły przerobiono na salon urody. Panowała w nim gospodyni i jedna z chorych nerwowo, która jakiś czas przed pierwszym atakiem ukończyła z wyróżnieniem technikum fryzjerskie. Obie pochylały się teraz w skupieniu

nad gospodarzem, który zasiadł w fotelu wymontowanym ze starej syrenki i przeglądał się w lustrze, rozgarniając przedziałek.

– Włosy można ufarbować – powiedziała fryzjerka – ale nie kapelusz. Tutaj nawet piszą, pan spojrzysz na metkę: „Nie farbować”.

– Piszą, żeby nie prać – odparł gospodarz. – To nie jest to samo.

Oderwał wzrok od lustra i obejrzał się na żonę. Tuż przy drzwiach ich młodszy syn trzącał kijem do gazet białą klatkę o gęstych metalowych prętach, zawieszoną na haku pod sufitem. Na czubek kija nasadził pudrowaną perukę o równym przedziałku i dwóch preclach warkoczy skręconych nad uszami. Ilekroć udało mu się trafić, podnosił się krzyk kruka. Ptak rozwierał dziób i bił skrzydłami o podłogę klatki wyścieloną rudawymi lokami, wyglądającymi z daleka jak wióry drewna.

– Będzie, będzie, mamusia! – krzyczał chłopiec. – Wyciągniemy z dzioba!

– Proszę już dać spokój – powiedziała jedna z chorych nerwowo, siedząca na fotelu pod ścianą.

Głowę miała odchyloną, szyję napiętą, trójkątne wgłębienie tuż nad obojczykiem. Jej rudawe włosy unosiły się na powierzchni białej, pianistej wody. Inna chora dolewała wody do miski krótkimi, raptownymi chluśnięciami.

– Wszystko odzyskamy – powiedziała gospodyni. – Słyszysz pani? Odzyskamy loczek.

– Ja już nie chcę loczka – zawołała tamta. – Nic już od was nie chcę, proszę mnie ususzyć!

– Moment – odparła ta polewająca. – Jak dobrze nie spłukamy, to się zrobi łupież.

Zaskrzypiały drzwi i na progu stanęła kobieta ze sklepiku. Ubrana była w te same co zwykle džinsy z wysokim stanem, ale kurtkę wiatrówkę zamieniła na przyciasny akryłowy płaszczyk zapinany na podwójny rząd plastikowych guzików.

– Ja bym jednak nalegał – powiedział gospodarz – żeby ufarbować. Chcę wyglądać godnie.

– Piszą: „Nie farbować” – odparła fryzjerka.

– Chce farbować kapelusz, niech farbuje kapelusz – odpowiedziała

gospodyni. – Jeśli się coś stanie, to na niego będzie.

Tamta wzruszyła ramionami i poszła na zaplecze. Po chwili wróciła, pchając wózek z przyborami do farbowania i folią aluminiową pociętą na paski.

– Pani przyjdzie, pani Jasiu – powiedział gospodarz, nakładając kapelusz na głowę. – Słyszysz pani? Przyjdzie pani na zabawę. Będą nagrody dla najbardziej wyróżniających się wariatów.

– Raczej nie – odparła fryzjerka, wydymając usta i nakładając farbę na rondo kapelusza. – Nienawidzę zabaw. Nienawidzę sylwestra. Diabli jubileusz.

Kobieta w akrylowym płaszczu usiadła pod ścianą na drewnianym kuchennym taborecie obłożonym pluszową poduszką. Przyniosła ze sobą albumik ze zdjęciami i kartkowała go teraz, poszukując zdjęcia, które przykuło jej uwagę, kiedy przeglądała zbiory po raz pierwszy między kijkiem do gazet, ołówkiem a siekierką do cukru.

– Musisz poczekać – powiedziała fryzjerka – aż szefowi kapelusz ufarbuję. Nie wiedziałam, że tyle zejdzie. Myślałam, że będzie samo strzyżenie.

– Dobrze, dobrze – odparła tamta. – Ja już na dzisiaj skończyłam.

– A jak? – spytała gospodyni, podchodząc bliżej. – Coś zeszło?

– Nic – odparła tamta i poczerwieniała. – Znaczą rąbanka wieprzowa.

– Ty też przyjdź – odezwał się gospodarz, odwracając się do niej.

Fryzjerka cmoknęła i delikatnie przekręciła mu głowę.

– Wszyscy dzisiaj świętujemy. Wszyscy chorzy nerwowo, wszyscy pracujący w polu. Będą w nocy zabawy.

– Przyjdzie – powiedziała fryzjerka, puszczając oko do tamtej. – Pewno, że przyjdzie. Dlaczego by miała nie przyjść? Po to włosy robi.

Kobieta ze sklepika odchyliła szarą bibułę rozdzielającą strony i podniosła albumik nieco wyżej, przyglądając się wklejonym zdjęciom. To były stare fotografie w sepii – częściowo naddarte, częściowo prześwietlone albo czymś zalane. Na górnym zdjęciu pozowało dwoje starszych ludzi: on za stołem, z gromnicą w ręku opartą o ramię ukośnie niby drabina, ona obok, w ciemnej sukni z wysoką stójką i z białą pianą koszuli wynurzającą się tuż

pod brodą. Włosy miała rozpuszczone, lekko pofalowane i pojedynczy lok tuż ponad lewą skronią.

– Ta fryzura tu – powiedziała, wskazując palcem zdjęcie i podnosząc wzrok na fryzjerkę. – Chyba mi pasuje.

– Która?

– Ta tu, o, taka.

– U ciebie się nie będą tak układać – odpowiedziała fryzjerka, zaglądając do albumu. – Ty masz włosy zbyt cienkie. Trzeba by je kręcić. Będziesz kręcić?

– Proszę?

– Codziennie będziesz kręcić?

– No – odparła tamta, bardzo się pilnując, by nie spojrzeć w lustro. – Jeśli będzie trzeba...

Urwała na moment, przerzuciła stronę.

– A to? – spytała, wskazując małą fotografię przedstawiającą dziewczynę siedzącą na krześle: głowę miała odchyloną, a jej szyja nabrała takiego samego kształtu jak szyja chorej nerwowo płuczającej włosy.

– Nie – odparła fryzjerka, nabierając na pędzel trochę czarnej farby. – Nie pasuje do twarzy. Czoło u ciebie za niskie. Pani gospodyni – powiedziała po chwili – pani nie wie czasem, czy przyjdzie się farbować ta mała z warkoczami, ta, co zamiata?

– Nie – odparła chora nerwowo nalewająca wody do miednicy.

Raz po raz z dzbanka wysuwał się srebrny jęzor wody.

– Ona nie przyjdzie. W ciąży jest. W ciąży nie można farbować.

– Trzeba ją odesłać – odezwała się gospodyni. – Wziąć kogoś innego.

– Ten, co pszczoły miał rozroić – powiedziała płuczająca włosy. – Obrotne chłopisko. Ta Aneczka mała, w błyszczącej sukience, co do stołu podaje, do niej też był chodził.

– Zosieńka też w ciąży, ta mała od sąsiada.

– Znowu? – spytała fryzjerka. – Rok temu ją widziałam i też w ciąży była.

– Nie znowu – odezwała się kobieta ze sklepiku podniesionym głosem. – To jest ta sama ciąża. Ciągle na tym jedzie.

Przewróciła stronę w albumiku i przymknęła oczy. Gdzieś ponad nią

trzeszczała rozbujana klatka, ptak krzyczał przeraźliwie, a od czasu do czasu rozlegał się śmiech synka gospodarzy, w którym było słycać wielkie zmęczenie i zawziętość, wskazującą, że to coś więcej niż zabawa.

– Przed dwudziestą drugą – powiedział gospodarz, odwracając się do żony – podamy dewolaja. Będzie fest odświętnie. Przed północą loteria, po północy zabawa. Przejdę po pokojach, pozbieramy fanty. Każdy los wygrywa.

– Mamy w piwnicy karton z butami – odezwała się gospodyni. – Na nas nie pasują, można oddać chorym.

– A dewolaj z brzoskwinią, tak jak za granicą.

– A to? – spytała kobieta ze sklepiku, wskazując na zdjęcie młodej pary: on włosy miał zaczesane do góry, ona spięte w kok przylegający do głowy szczelnie niczym kokon.

– Nie – odparła fryzjerka, przesuwając wózek z farbami. – Zaraz się rozpadnie. Jeśli to na tańce, musi być mocniejsze.

– Mnie się podoba.

– I co? – spytała tamta, przytknęła suszarkę do kapelusza i przytrzymując go na czubku palcem wskazującym, puściła gorący strumień na najwyższych obrotach. – Całego sylwestra będziesz tańcowała, trzymając się za głowę?

Kobieta ze sklepiku odparła coś jeszcze, spoglądając na nią, ale jej głos zginął zupełnie wewnątrz larum, które podnosiła suszarka. Po pokoju rozszedł się zapach rozgrzanej smoły.

– A jakie te buty? – zapytał gospodarz, przekrzykując suszarkę. – Mierzyłem?

– Oczywiście – odparła gospodyni. – Żaden nie pasował. Czy ja bym dobre buty na loterię oddała?

– No, to wie już pani? – spytała fryzjerka, kończąc obsuszanie.

Kobieta ze sklepiku otworzyła oczy.

– Jaką chcę fryzurę?

– Nie – odparła tamta, przekręcając kapelusz na głowie gospodarza. – Które z nich nie żyje.

Kobieta spojrzała raz jeszcze na albumik, otworzyła go na chybił trafił i znowu zamknęła. Poprzez litery wytłoczone na brązowej okładce przebiegł

refleks słońca; odczytała: „Zakład fryzjerski Marusia, wyroby z włosów najlepsze w okolicy”.

– Nie – powiedziała. – I już nie odgadnę.

– No – odparła fryzjerka, uśmiechając się z zadowoleniem. – Oni wszyscy martwi. To są zdjęcia pośmiertne. Dawniej takie robiono, żeby mieć pamiątkę.

– Nie – odparła kobieta ze sklepiku, podnosząc głowę i patrząc wyzywająco w swoje odbicie w lustrze. – Oni wszyscy żywi. Jeśli któryś martwy, to najwyżej ten. Na pewno mężczyzna.

– Ale prawda, że jak żywi? – spytała gospodyni z uciechą. – Każdego pytamy, nikt nam nie chce wierzyć. Pani Jasia jeszcze w technikum nazbierała.

– No – powiedziała fryzjerka. – Pewno, tak było. Nosiłam się z myślą o własnym fryzjerskim zakładzie, mówię: wezmę, zbiorę. Na co katalogi z Paryża z różnymi włosami, skoro mamy w Polsce naszych pięknych zmarłych? A każdy jak czesany!

– Ta z tymi ząbkami – odezwała się gospodyni – ta stojąca taka. Ona też martwa?

– To nie ząbki, szefowo – powiedziała fryzjerka. – To grzywka degażowana.

– Pani tak zachwała, jakby ich pani znała.

– Nie byłoby zabawy, gdybym ja ich znała.

Kobieta ze sklepiku spojrzała w lustro: tuż nad jej ramieniem odbijał się obraz z dworkiem w Oblęgorku wymalowanym akwarelą, nieco wyżej zawieszono okrągły zegar. Wskazywał dziewiątą, to znaczy piętnastą. Przez podwórze przeszło dwóch mężczyzn dźwigających na ramionach – niby grabarze niosący trumnę – dwie drewniane żerdzie, przez które przewieszono ubielone mąką pasma makaronu. Tuż za nimi szedł mężczyzna, który umiał chodzić wokół pszczoł; ręce miał w kieszeniach, a twarz wystawiał do słońca.

– Po co nudle, panowie – pytał – skoro można mieć rąbankę wieprzową?

– Ja nigdzie nie pójde – powiedziała kobieta ze sklepiku. – Ja się chyba nie czuję.

– Szkoda – odparła fryzjerka. – Obciąłabym cię na pazia. Zmarłym bardzo pasuje, też byś dobrze wyglądała.

Jakże pięknie było na wsi! Noc już była w pełni!

Mrok się kładł na polach, księżyc błyszczał w górze. Dwie kobiety w identycznych sukienkach z białej wełny dreptały pod jabłonią według zwykłych ścieżek. Na tle czarnego nieba, gdzieś ponad ich głowami, raz po raz błyskały sztuczne ognie i wzmagał się wrzask nerwowo chorych zgromadzonych na placyku przed stodołą. Jeden, mężczyzna kierujący pracą w polu, szedł w stronę chałupy, krótkimi kopniakami przesuwając przed sobą karton, na którym wypisano drukowanymi literami: „OBUWIE DOBREGO NOSZENIA (I główna nagroda)”.

– Jeśli nie sportowym, to proszę chociaż trepom dać szansę – zawołała za nim gospodyni.

– Ja wiem – odparł tamten, nawet się nie odwracając. – Ale za dnia poprzymierzam, nocą nogi puchną. Po co się denerwować?

W pokoju jadalnym zapalono światło, czyjś cień przesunął się wzdłuż bordowej kotary, rozchylił ją nieco i otworzył okno – jedna z chorych nerwowo, klaszcząc głośno, wyganiała ćmę. Tuż pod oknem przebiegły dwa skulone cienie; coś błysnęło srebrno.

– Nie, posłuchaj – powiedziała kobieta ze sklepiku. – Nie dostaniesz rąbanki.

– Jutro przecież święto.

– Nie dostaniesz rąbanki.

Jeden z chorych nerwowo wdrapał się na krzesło i dowodził zabawą, zwaną noworocznym pokotem i uwielbianą przez chorych: lewą rękę unosił, kciuk prawej wsuwał do ust i wyciągał znienacka z głośnym cmoknięciem. Padali wtedy na brzuchy według ustalonej kolejności: w pierwszym rzędzie chorzy ptaki, w drugim chorzy, którym przypadała rola drobnych zwierząt, na końcu zaś osuwali się ci, którzy byli za dużą zwierzynę – na dźwięk kolejnego cmoknięcia znów się podnosili, a potem krążyli wokół krzesła, na którym stał nerwowo chory kierujący ruchem.

– Jestem synem jelenia – krzyczał jeden – muszę być na przodzie!

Trzech chorych nerwowo nie brało udziału w zabawie. Jeden wdrapał się na dach ganku i podkładał ogień: ledwo przytknął zapalną, już podnosiły się błękitnawe płomienie, a następnie lekko niczym papierowe łódki przesuwały się wzdłuż rynny i ku ptasim gniazdom – nie osiągnęły jednak nawet połowy dystansu, a już chorzy stojący na dole sięgali po sznury, zawijali je w pętle, a potem, kręcąc nimi niby lassem, chwyтали płomienie, ściągali je na dół i przydeptywali.

– Te zapalną – powiedział jeden, podnosząc głowę – skąd masz?

– Ja wiem? – odparł ten z góry. – Nie wiem. Gdzieś w śniegu znalazłem. Nawet nie trzeba szorstkiego, o wszystko się rozpalają.

Chora nerwowo stojąca w oknie klasnęła jeszcze dwa razy, wzruszyła ramionami, obejrzała się za siebie i zamknęła okno. Coś błysnęło srebrno, ktoś wrzasnął krótko i umilkł, ktoś krzyknął: „O Jezu, Jezu, dopuściłam złego! Dopuściłam złego! Dopuściłam złego!”. Mężczyzna kierujący zabawą wyciągnął kciuk z ust. Dwie kobiety w identycznych sukienkach z białej wełny biegły w stronę domu; każda niby łyżkę, na której kołysze się jajko, niosła przed sobą lusterko. Coś w nich połyskiwało srebrno niby ryba w czarnej wodzie. Kilka metrów za nimi biegła kobieta ze sklepiku. Gdy któraś się zachwiała albo gdy wiatr zawiął mocniej, krzyczała za nimi:

– No, doniosą? Nie doniosą?

Siwy koń w plamy kare

W kwietniu do Café Europa na Festiwal Drobnych Orkiestr zjeżdżały zespoły z Gogolina, Nettingsdorfu i Karlsbadu, a dla Kindlera nadchodziły dni wielkiego walca. Po Wielkanocy rezygnował z przerwy obiadowej i wychodził z pracy pół godziny wcześniej. Autobus przejeżdżał zawsze ulicą Mickiewicza. Zazwyczaj nie było tłoku i niemal zawsze udawało mu się usiąść – wybierał chętniej miejsca po prawej stronie; rozpierał się, rozpinął płaszcz i wyciągał z teczki kanapkę: grubą, toporną pajdę obłożoną brązowymi skrawkami salcesonu. Pojadał nieuważnie, nie odrywając wzroku od szyby. Przy Café Europa przestawał jeść – bezwiednie wyciągał głowę i przyciskał kanapkę do serca. To wszystko trwało chwilę, udawało mu się tylko zobaczyć zielone, pulchne litery neonu i szyby witryn połyskujące beżowo – więcej nic; autobus szarpał i przyśpieszał zaraz.

Żonie nie mówił o niczym, nigdy też nie pytała. Chodziła do pracy na trzecią i wracała wieczorem. Ściągała tylko ubranie, myła zęby i od razu się kładła – zazwyczaj zastawał ją śpiącą, a jeśli przypadkiem nie spała, niepytany mówił:

– W karty byłem rżnąłem.

I to ją uspokajało.

Zaoszczędzone pół godziny wykorzystywał na dokładne przygotowania: nalewał najpierw gorącej wody do wanny, rozpuszczał w niej jedno z pachnących mydełek i wsuwał się w ten ukrop z leciutkim okrzykiem. Przy krawędzi wanny ustawiał sobie okrągłe lustro stokrotkę na dziwacznej nóżce – przysuwał do niego spoconą twarz, oglądał uważnie, po czym odsuwał się nieco, odpychał jakby, oddychając ciężko, by po chwili znowu się przysunąć, zajrzeć, przetrzeć zaparowaną powierzchnię. Pośród żółtych plastikowych płatków pojawiała się jego czerwona, błyszcząca twarz: czarny,

skośny wąsik i diable oczy. Popatrywał z przykrością, potem odsuwał się znowu, wychodził i długo, dokładnie wycierał ciało ręcznikiem.

Ubierał się powoli, co rusz przeglądając się w lustrze. Najchętniej nosił ciemną marynarkę, ciemne spodnie w kant i białą koszulę oraz krótki, szeroki krawat przedstawiający łeb tygrysi czający się w ciemności między chaszczami.

Szedł ulicą z obiema rękami w kieszeniach, pogwizdywał lekko. Przy każdej większej witrynie zwalniał nieco, popatrywał z ukosa: czy błyszczą się nalakierowane włosy, czy wygląda schludnie. Lubił, kiedy w oddali migało ostrzegawczo zielone światło – miał wtedy pretekst, by przyśpieszyć, nawet: by podbiec kilka kroków – wmawiał sobie, że płynie w powietrzu. O osiemnastej był już w Europie, zajmował miejsce przy stoliku z przodu, blisko szyby. Od tego momentu nic nie było tak samo.

Orkiestra wchodziła dopiero o dziewiętnastej; do tego czasu mógł biesiadować. Siadał zazwyczaj tyłem do sali, a twarzą do ulicy, długo, cierpliwie przeglądał menu, choć z góry wiedział, co zaraz zamówi: pierogi ruskie, ptifurki oraz przemysławkę. Czasami odrywał się od karty i spoglądał niby to przez okno – w wielki, czarny kwadrat przed sobą. Na dworze było już ciemno i nie widział nic; czasem tylko jakiś ruch, jaśniejsza pręga, jeśli przechodzień był ubrany na biało – więcej nic. Oni widzieli go za to doskonale. Wiedział o tym świetnie i prostował się na krześle, wysuwając brodę, gładząc plastikowy obrus i poprawiając sztuczne kwiaty w wazonie, starając się przy tym wyglądać jednocześnie dostojnie i niedbale, jakby cała ta gracia przychodziła mu mimochodem.

Pojawiał się kelner, pochylał nieco, a Kindler, kolejno wskazując palcem, dopytywał o desery. Uważał bardzo na słowa, na gesty, bo wiedział przecież, że za oknem, w tej ciemności stoi ktoś, kto obserwuje go z zapartym tchem. Poprawiał marynarkę, popatrywał na kelnera i wzrok przenosił na ten czarny kwadrat, porozumiewając się jakby ze swoimi widzami, sprawdzając, czy nadążają za przebiegiem akcji. Kelner tłumaczył mu wszystko poirytowany. Na każde wskazanie paluchem wyrzucał z siebie niedbale trzy czy cztery słowa, kiwając się na piętach; niczego nie zachwalał, ale i nie odradzał.

– I jeszcze jakiś alkohol do tego, byle dobry tylko – mówił w końcu

mężczyzna, a kelner kiwał głową.

– Może przemysławka?

– Jeśli jest przemysławka, proszę przemysławkę.

O wpół do siódmej zaczęli przychodzić ludzie, robiło się głośno. Mężczyzna dojadał deser. Odwracał się do kelnera i dawał sygnał, by napęłnił raz jeszcze wysoką szklanekę. Czekał, dobierał resztki z talerza. Czasami jakiś kawałek omykał mu się z widelca i spadał; mężczyzna popatrywał wtedy spłoszony ku wielkiemu oknu, przerażony tym, ilu ludzi stało się właśnie świadkami jego niezdarności.

Póki siedział przy stole, nigdy nie odwracał się twarzą do sali, nic jednak mu nie umykało, nikt nie przechodził niezauważony – oceniał, przebierał: wszyscy jakby defilowali przed nim i dla niego. Widział to wyraźnie w szybie przed sobą – białą kulę światła pod sufitem, jasne plamy obrusów, profil kobiety siedzącej tuż za nim, kolorowe sylwetki pozostałych gości; wszyscy jakby odmalowani farbami wodnymi, wszystkie barwy ostudzone, spóźnione, jakby pół kroku za tym światem, który mężczyzna miał za plecami.

Jesteśmy w tym wszyscy, myślał, paląc papierosa i patrząc przed siebie: ja, cienka szyba, w niej odbicia tych, którzy są tutaj ze mną – i wreszcie: ci wszyscy, którzy przemykają teraz ulicą i którzy myślą o tym, jak bardzo chcieliby już być w ciepłym domu, i którzy zwalniają, widząc rozświetlone okna kawiarni i pięknego, eleganckiego mężczyznę – o tym myślał ze szczególną przyjemnością – palącego egipskie papierosy i pijącego przemysławkę. Podchodzili coraz bliżej do szyby i coraz wyraźniej widział ich osłupiałe twarze – gdy część stała już niemal z nosami przy witrynie, odwracał się nieco i prosił o trzecią dolewkę, potem zaś niemal bezwiednie zaczął szukać partnerki do tańca.

Wybierał kobiety brzydkie, tak wołał.

Przede wszystkim dlatego, że one nigdy mu nie odmawiały. Przychodziły na dancingi w towarzystwie ładniejszych koleżanek, tamte do tańca porywano od razu, brzydkie – niemal nigdy. Zostawały przy stoliku i zamawiały to jeszcze jedną kawę, to szklaneczkę wódki, walcząc w ten sposób o najmniejsze rozmiary przegranej: już nie dlatego nie tańczyły, że

nie proszono ich o to – nie tańczyły, bo kawa mogła przecież wystygnąć, a wódka się zagrzać. Rozglądały się potem z godnością po sali, ich wzrok mówił: sami państwo widzą, dużo się dzieje i same pilne sprawy. Poza tym oczywiście nic się nie mogło równać z wdzięcznością brzydkich kobiet. Kiedy skłaniał się ku nim, kiedy brał za rękę, obejmował w talii i prowadził na parkiet, biło od nich światło, którego piękne kobiety nie miały: blask wielkiego święta, pulsujący, biały – jak gdyby na krótki moment przywracał je znowu kobiecości.

– Ma pani piękne korale – szeptał w tańcu, a jego partnerka spuszczała skromnie wzrok, czerwieniała cała, mówiła:

– Ach, od brata dostałam.

I puszczała na moment jego dłoń, by musnąć korale: zbyt małe i za krótkie przy jej tuszy, wpijające się w ciało tak mocno, że przy przełykaniu musiała wyciągać szyję jak kura.

– Leżą pani – szeptał, pozwalał jej obdarzyć się zachwyconym spojrzeniem, po czym dodawał surowo: – A teraz tańczmy już.

Patrzyła na niego z wdzięcznością, z oddaniem; on na nią nie patrzył wcale. Prostował się bardziej, podnosił brodę, wzrok miał uroczysty, wbity gdzieś ponad jej lewym ramieniem.

Zazwyczaj nie znały kroków i pozwalały się prowadzić, to lubił najbardziej. Co rusz chwiałały się albo następowały mu na palce, chichocząc przy tym głupio, zupełnie zrozpaczone. Nie były też przyzwyczajone do bliskości i pod wpływem ciepła drugiego ciała sztywniały zaraz niby rzemień w słońcu. Nie przeszkadzało mu to, nie reagował wcale, w tańcu nie widział niczego.

Późnym wieczorem, kiedy na parkiecie robiło się więcej miejsca, podchodził do orkiestry i zza paska zegarka wyciągał złożoną na czworo karteczkę. Jeszcze w domu wypisywał na niej kilka melodii, które koniecznie chciał usłyszeć. Grano więc *Once Upon a December* albo temat z *Nocy i dni*. Podchodził do najbrzydszej kobiety i prosił do tańca, mówiąc:

– Na zakończenie pięknego wieczoru.

Nie przeszkadzał już nikt; tańczyli. Inne pary rozstępowały się przed nimi jak ławica ryb, pierzchały pod ściany. Partnerka – dajmy na to: tłusta dama

w obcisłej, srebrnej sukience – szeptała mu do ucha, że, och, nie jest pewna, czy potrafi, czy jeszcze pamięta, a jego ogarniał zapach: ciężki, ciemnozielony, perfum i alkoholu. Okręcał ją trzy razy i niemal upadała, musieli przystanąć i odczekać chwilę. Potem ujmował jej dłoń i obejmował ją w talii. Wczepiała się w niego i zaczęli taniec; prowadził ją lekko, co właściwie znaczy: holował.

Tego jednego, szczególnego razu wybrał na partnerkę gustownie ubranego krokodyla o ciężkich powiekach umalowanych opalizującym cieniem i z wielką brodawką na policzku, z której sterczały trzy sztywne włoski.

– Uroczo pani wygląda – powiedział bez entuzjazmu, spojrzał na jej upudrowaną twarz: tłustą i ospałą, lecz o szczególnym uśmiechu.

Gapiała się na niego z takim oddaniem, że poczuł się zmuszony, aby powiedzieć coś jeszcze. Nic jednak nie przychodziło mu do głowy, spojrzał ku górze, szukając natchnienia.

– Świat jest wielkim zdumieniem.

Znów patrzył gdzieś ponad jej lewym ramieniem, nie widział nic. Tańczyli.

Zniknęła przetarta bordowa wykładzina, zniknęła boazeria, zniknęły lustra upstrzone przez muchy i zniknął zapach wilgoci. Wirowali zgodnie z kierunkiem wietrznych manewrów, to znaczy: przeciwnie do ruchu wskazówek zegara. Zdawało mu się, że płynie nad parkietem, że każdy jego ruch trafia w punkt, a każdy dźwięk w swoje miejsce. Czasami budził się niechętnie z tego letargu i spoglądał w stronę okna: czy tamci patrzą na niego? Zdawało mu się, że ciemność za szybą jakby narasta, tężeje, że gapie gromadzą się coraz liczniej i coraz ciaśniej stają przy szybie.

Kobieta podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem, pochyliła się ku niemu.

– Czy tam coś jest – spytała – czy pan tam coś...?

– Tak – odparł – cuda.

– Musimy... – zaczęła znowu.

Pokręcił głową, rzekł:

– Tańczmy.

Prowadził ją coraz bardziej nieuważnie, coraz bardziej samotny i osobny w tańcu. Czasami tylko zrywał się nagle i zmuszał ją do piruetu, jakby

obracał przed sobą beczkę albo wielki kokon; poddawała mu się chętnie, całkiem zrozpaczona. Nie odrywał wzroku od okna. Nawet kiedy kroki tańca oddalały ich w kierunku przeciwległej ściany i kiedy ustawiały go tyłem, wyciągał szyję, najbardziej jak się dało, wykręcał się, zezował – jak ktoś siłą wciągany w tłum, kto rzuca jeszcze przeciągłe, błagalne spojrzenia ku temu, co musi za sobą zostawić.

– Jest tam coś – odezwała się w końcu strapiona. – Jest coś, ku czemu pan patrzy.

– Tak – odparł. – Są tam cały czas. Ciągle.

– Gdzie?

– Za oknem.

Odwróciła się zmieszana, spytała:

– Kto taki?

– Ludzie, przechodnie – odparł z mocą. – Przychodzą, by podziwiać taniec. Rozmach ludzkich poczynań.

– Proszę?

– Przychodzą mnie podziwiać. Przychodzą patrzeć na taniec i na to, jak spożywam. Nie mieści im się w głowie. Dawać przykład, proszę pani. Nie tylko tańcem, ale całym stylem życia. Rozmach ludzkich poczynań, proszę pani, nie mieści się w głowie.

– Nie mieści się w głowie – powtórzyła i zerknęła jeszcze na wszelki wypadek ku czarnej szybie.

– Nie powinien pan – dodała ostrożnie – mówić mi o tym wszystkim. Nie jestem dobrą tancerką, nie czuję się. Wiedzieć, że patrzą... – urwała, pomyślała: „A to co, u licha?” i dodała zaraz: – Czy to często się zdarza?

– Zawsze prawie – odparł; oczy miał zamglone. – Odkąd tu przychodzę.

Szarpnął i ruszyli żwawiej jakby. Ona patrzyła w niego, on patrzył ponad nią. Powoli dogasała muzyka ostatniego walca, moment przerwy i orkiestra huknęła *Wspomnienie*.

– Ta melodia – powiedziała – jak żadna inna...

– Wiem – odparł – i u mnie to samo.

– Pan też rozwiedziony?

– Nie – odrzekł. – Ale tańczmy już, proszę nie gadać. Po to jest muzyka,

żeby nie gadać. Nie trzeba mówić.

Łzy stanęły jej w oczach, otworzyła je szerzej, obiecując sobie, że uda się jej nie płakać. Na nic to – broda zaczęła jej drżeć, wyrwała się mężczyźnie i uciekła do kąta przy barze. Odnalazł ją po chwili, podał chusteczkę.

– Proszę nie płakać – powiedział znużony, spoglądając w stronę parkietu i licząc, ile jeszcze taktów melodii i czy uda mu się wrócić, zanim orkiestra umilknie. – Proszę nie płakać, proszę pani.

– To nic – odparła – nic, nic. Ja nie płaczę.

– Ale co pani mówi? – odpowiedział zbudzony. – Widzę przecież: oczy zapuchnięte, cała pani ośliniona.

– Boże – powiedziała wzbierającym głosem – pan się tak nie przygląda!
I zgasła światło.

To chwilę trwało: absolutny mrok rozproszony tylko przez słabe światła z ulicy. Orkiestra zagrała jeszcze kilka taktów i umilkła, zrobiło się zamieszanie. Na tle jasnego kwadratu okna odcinały się czarne cienie tancerzy i kelnerów.

– Kto zgasił? Proszę włączyć! Kto zgasił? – wołano.

Na dworze panował zaś absolutny spokój, ruch na ulicach zamarł. Kto miał wrócić z pracy, już wrócił, kto dotarł do domu, już z niego nie wychodził. Mężczyzna odwrócił się w stronę okna, znieruchomiał, spoglądał w milczeniu. Kobieta otarła łzy i włączyła światło.

– Poszli – powiedział mężczyzna – poszli już sobie.

– Nie było nikogo – odparła ona, składając chusteczkę. – Ubrudziłam pana, o, tu.

– Za zimno – odezwał się – może innym razem. Zazwyczaj wytrzymywali.

– Po prostu przetałam oczy i czoło, a cała byłam w pudrze, zapomniałam zupełnie.

Podsunęła mu chusteczkę, ale nawet nie spojrział. Spróbowała mu ją wsunąć w kieszonkę marynarki, ale chusteczka wypadła zaraz.

– Mamy taką umowę – powiedział on – przychodzili zawsze.

– Nie było nikogo – odparła ona – ani dziś, ani nigdy wcześniej.

– To przez tę pogodę.

Przez chwilę jeszcze wpatrywał się w ciemny kwadrat okna, w swoje rozmyte odbicie. Potem drgnął, wzruszył kilka razy ramionami, jakby chciał się rozluźnić. Bez słowa podszedł do wieszaka, zabrał płaszcz i wyszedł.

Trzeci pochówek generała Sikorskiego z uwzględnieniem koca

Z perspektywy bożej wyróżniała się tylko grupa ślepców idąca w trzech czwartych pochodu, jedyna, która z przezorności i lęku przed wczesnym jesiennym zmierzchem zaopatrzyła się w wysoką lampę. Tłusty punkt światła przesuwiał się teraz wzdłuż ulicy świętej Gertrudy, z bożej perspektywy ciemnej i błyszczącej niczym dno ula. Lewa burta pochodu napierała na bariereki rozstawione pomiędzy rzędem niskich, drobnych drzewek, sadzonych rzadko, nieregularnie, jak gdyby od niechcienia. Zrąb budynków wzdłuż ulicy udekorowano biało-czerwonymi flagami, wąskimi i wysokimi jak drabiny szturmowe.

Z perspektywy żabiej wyróżniał się tylko mim przebrany za barokowe paniątko, który przed kilkoma godzinami opuścił stanowisko przy kościele Mariackim i przysiadł teraz pomiędzy straganem z jajkami i drugim z flagami w kolorach papieskich. Ubrany był w białe spodenki gimnastyczne wiązane na troczek i biały podkoszulek bokserski. W świetle lampy jego ciało wymalowane białą farbą wydawało się gładkie jak ulepek, tylko w niektórych miejscach – na łokciach, przy przegubach – poprzecierana farba nabrała siniego odcienia. Włosy zwinięte w grube loki pociągnięte miał na złoto i udekorowane różanym łańcuchem schodzącym się nad karkiem niby piętka serca.

– To nie jest przyrząd do prześwietlania jajek – powiedział. – To zwykła latarka.

– Tak – odparł zuch. – Do prześwietlania jajek.

Sięgnął po żółte jajko leżące w wiklinowym, okrągłym pudełku z nalepką IKEA, położył je na dłoni i przypuścił biały, trójkątny strumień światła.

Trzech zuchów stojących tuż za nim roześmiało się w garść, wąska trąbka huknęła *Śpij, kolego*. Nie zwrócił na to uwagi, odwrócił się tylko w kierunku dziewczęcego zastępu.

– Niby zwykła – powiedział, a płaska czapka ozdobiona czaplim piórkiem osunęła mu się na czoło – ale tak naprawdę wyczulona na ciepłość ciała.

– Aha – odparł mim. – A to od kiedy w środku surowego jajka jest coś ciepłego?

– Jak się jajko pociera albo wysiaduje, gdy kurczak w środku...

– I po co?

– A tak – powiedział zuch i zaczerwienił się. – Dla siebie, żeby wiedzieć. Człowiek ma ciekawość.

Ktoś klasnął dwa razy i zastęp harcerek rozpoczął drugą rundę gry w morę: mignęły krótkie palce, to dwa, to trzy, to cztery. Zastępowa Mirusia spisywała wyniki do zeszytu w kratkę. Co rusz pochylała głowę i wysuwała mlecznoróżową końcówkę języka, a na jej lewym policzku pojawiał się dołeczek, precyzyjnie osadzony i głęboki – *touche* – niby tknięcie jasnej, sprężystej skóry przeciwnika niewidzialnym floretem. Włosy miała błyszczące i brązowe w sposób taki, jaki w Polsce rzadko się zdarza: głęboki, nasycony, przypominający nieco brąz skórzanej eskimoskiej łodzi, którą kiedyś widziała w atlasie przyrody. Fryzura dodawała jej urody, bo twarz miała szeroką i jasną, oczy małe, dolną wargę pomarańczową i odstającą niczym kołnierzyk glinianego naczynia. Sweter zapinany na guziki rozchyłał się na wysokości piersi niczym skórka sparzonego owocu. Przerwała notowanie, jak gdyby czując na sobie baczne spojrzenie, i uniosła rękę, by poprawić włosy, w rzeczywistości jednak, by nieco się zasłonić. Za grupą ślepców szedł kordon męskiej sekcji róż różańcowych Drezno-Krzewucha: sześciu mężczyzn ubranych w spiczaste tureckie kapelusze i jasne wiatrówki. Gdy mijali Mirusię, dwóch idących na samym przodzie podniosło wyżej koślawy proporzec z złotego jedwabiu obszytego sutymi frędzlami jak cygańska torba.

– No – odezwał się sprzedawca – wszystkie chcesz jaja przeświecić?

– Że w którymś może coś – odparł zuch, biorąc drugie jajko.

– To można potrząsnąć, nie trzeba naświetlać.

Zuch pokręcił głową, znów buchnęło światło: biała, rozpuszczona smuga niby ciepła para.

– Można ciało zobaczyć – odezwał się mężczyzna w żółtym swetrze w czarne pasy stojący przy stoisku z kasetami. – Jak ktoś lubi takie rzeczy. Na internecie jest wszystko.

– Bałbym się – odparł mim.

– Polecam oglądać – powiedział tamten wzbierającym głosem. – Czy śmierć, czy wypadek. Człowiek musi sobie sam wyrobić zdanie. Pan się z mediów nie dowie.

– Nie – odparł tamten. – Nie jestem ciekawy.

– Mama! – krzyknęło dziecko stojące kilka kroków dalej, tuż przy policyjnej wstędze. – Z kościoła aniołek!

Z żabiej perspektywy wyróżnił się teraz korowód nóg kobiecych, niby długie krople deszczu: w identycznych rajstopach kryształach o żółtawym połysku. Za nimi szedł tuzin komunijnych dzieci rozdzielonych na równe rzędy jak w japońskim liczydło. Z perspektywy bożej: biało-czerwone światło policyjnych wozów, krążących po asfalcie prędko i sumiennie, niby płyn podpięty do sztucznego obiegu, i samochód ciągnący za sobą płaską przyczepę pełną żołnierzy. Jeden, w czerwonym berecie ułożonym niczym podstawka pod świeczkę, zbliżył się do krawędzi plandeki i hojnym, obojętnym gestem wytrząsnął z wiadra do mycia podłogi białe płatki, z perspektywy bożej niby rwane ptasie pióra.

– A chcesz, to cię tatuś weźmie na barana, żebyś trumnę zobaczył! – odezwała się jedna z kobiet stojących tuż obok barierki.

Harcerki skończyły grę i ustawiły się przy trasie przejazdu.

– Mówię przecież – odezwał się mim. – Nie ma sensu przeświecić. To jajka sklepowe, w żadnym nic nie ma.

– Aha – odparł zuch, znów włączył latarkę.

– Nie są sklepowe – powiedział sprzedawca.

Mirusia ustawiła się teraz tak blisko stoiska, że mógł odczytać tytuł książki, którą trzymała w rękach. Był to stary podręcznik do nauki gry na akordeonie, okładka przedstawiała chudego młodzieńca o brązowych włosach, jak gdyby ulanych z tego samego materiału co włosy dziewczyny.

Ubrany był w białą koszulę, rozchełstaną na piersi niby u morskiego partyzanta; akordeon trzymał w obu dłoniach sztywno i niezgrabnie, jak gdyby nie był to instrument, tylko kocioł z zupą.

– Gra pani na akordeonie? – spytał mim, ale nie zareagowała.

Musiał wysunąć się do niej; jeden z dużych, grubo utoczonych loków rozwinął się nieco.

– Nie – odparła tamta, nie patrząc na niego. – Ktoś mi to polecił, chciałam coś z nutami.

– Aha – powiedział mim. – Lubi pani nuty?

Białe światło latarki zaczęło błyskać coraz szybciej, z coraz większą niecierpliwością zuch przebierał w kurzych jajkach. W tych krótkich chwilach większej jasności mim wydawał się jeszcze bardziej złocisty. Gdy światło gasło, z bożej perspektywy przypominał drewnianego niedźwiedzia barwionego białą farbą, ustawionego przed wejściem do pensjonatu dla uciechy gości kurortu narciarskiego.

– Teraz nie – powiedziała kobieta, odwracając się do dziecka. – Nie będzie andruta.

– Lubi pani nuty?

– Tak w miarę – odparła harcerka ostrożnie.

– Aha – powiedział. – A jakie najbardziej?

Wzruszyła ramionami i wróciła do książki, obracając się jednocześnie niby roślina w stronę światła rzucanego przez policyjne koguty.

– Muszę się uczyć czytać nuty głosem – powiedziała, nie podnosząc głowy.

– Aha – odparł prędko. – A po co? Można coś z tym potem zrobić?

– Co się chce – powiedziała.

Wysunęła nogę z buta i uniosła ją nieco, podkurczając pod siebie niby czapla. Miała grube, fioletowe rajstopy z przetartym podbiciem upstrzonym białymi kłakami. Dłoń przytrzymująca podręcznik omsknęła się na moment i książka zamknęła się prędko, wyrzucając na ziemię czarną, cienką karteczkę niby błonka kalki. Schylił się, by ją podnieść, ale ona prędko postawiła na niej czubek buta i przytrzymała, dopóki się nie wyprostował. Światło latarki zapulsowało i zgasło.

– Lubi pani śpiewać?

– Patrz – powiedziała kobieta stojąca na palcach. – Zaraz będziejechał.

A odwracając się do sprzedawcy przy stoisku z kasetami, dodała:

– Pan wyłączy, pan zagłuszy *Barkę*.

– Ściszę – odparł – ale nie wyłączę. Trzeci raz już chowają. Jestem żywy i mam prawo, żeby mieć już dosyć.

– I zawsze tą trasą – powiedział sprzedawca flag.

– Ciarki mam – odparł mężczyzna z dzieckiem na rękach. – Jak przy Tour de Pologne, jak mnie mijają tymi rowerami.

– Nie, rozumiesz? – odezwała się kobieta stojąca na palcach. – Nie będzie andruta.

Zuch prysnął światłem latarki na ostatnie jajko, żółte i niemal okrągłe jak piłeczka golfowa. Wobec nagłego blasku spoczywało teraz w jego zaciśniętej ręce dziwacznie błyszczące niby gong albo ujście żelazistej wody. Pochylił się nad nim i przyglądał z bliska, a im dłużej patrzył, tym bardziej chciał widzieć szare, błyszczące plamy, jak osad po mydle, i czarne żyłki składające się w coś na kształt kurczęcia.

– Lubi pani śpiewać? – spytał mim.

– Tak w miarę – odpowiedziała Mirusia. – Jak trzeba. Ja patrzę praktycznie. Jak się śpiewa, to można nagrać kasetę albo płytę. I można to sobie potem wpisać na liście z sukcesami.

– Aha – odparł. – Ja mam pod domem stawik, wie pani?

Ustało na moment pulsowanie białych i czerwonych świateł, radiowozy zatrzymały się, czekając na karawan: długi, czarny samochód z wysuniętą, naprężoną antenką, o którą zaczepiono wieniec kwiatów.

– Ignaś – powiedziała kobieta, wyciągając aparat. – Chcesz trumnę zobaczyć, to tatuś cię podsadzi.

– Pani weźmie sobie flagę – odezwał się sprzedawca. – Wziąć i flagą machać, zdjęcia po ciemności i tak pani nie wyjdą.

– Ja flesz włączę – odparła. – My mamy flagi z domu, zostały nam jeszcze z Jana Pawła.

– A tak – powiedział.

– Weź, poproś tatusia, tatuś cię podsadzi.

– Mam pod domem stawik, wie pani? – powiedział mim, opierając się o barierkę, przechylając głowę i wychylając w stronę harcerki niby podróżny wystawiający głowę przez okno odjeżdżającego pociągu. – Dojrzewają ryby. Jak zrobi się ciepło, będę panią zapraszał. A może zaśpiewa coś pani?

– Nie – odparła.

Przed trumną, a tuż za kierowcą karawanu siedział mężczyzna w czarnej czapce z dużym, sztywnym daszkiem i spoglądał przed siebie, opierając brodę na zwiniętej pięści; profil miał ptasi, zaciepliwy. Gdy przejeżdżali tuż obok straganów, spojrział na nie lewym okiem, nie zmieniając pozycji i nie poruszając głową. Z żabiej perspektywy widać było teraz, że trzyma w ramionach brunatnego jamnika. Karawan przyśpieszył nagle, jak gdyby ciągnęły go konie reagujące na cięgi batem; z silnika wydobył się rytmiczny, przeciągły trajkot jak z krajalnicy do chleba. Małżeństwo stojące przy barierce pochyliło głowy i przeżegnało się szybko, mężczyzna trącił kobietę łokciem i coś wskazał.

– Pan tu za co? – spytała Mirusia, pierwszy raz odwracając głowę w kierunku mima. – Za jaką figurę?

– Za kościelne paniątko barokowe – odparł.

– Pan duży jest.

Karawan przesunął się tuż przed nią. Wieniec obsunął się nieco i koniec ozdobnej wstążki zwisał tuż ponad kręgiem felgi. Któryś z żołnierzy jadących na przodzie zeskoczył z plandeki i gwizdem dał sygnał, by zatrzymać karawan. Zuch zbliżył się do Mirusi, ściągnął czapeczkę i przycisnął ją do piersi, jednocześnie pochylając głowę tak, że nie wiadomo było, czy robi to wobec niej czy wobec tego, co poza nią. W ręce trzymał białe jajko z szarą plamą niby naleciałość z mydła.

– Na – powiedział, wyciągając je do niej.

Żołnierz dopadł samochodu i szarpnął za wstążkę; spróbował nawinąć ją na palec i upchnąć między sztucznymi liliami, ale kilkukrotnie wyprężyła się jak puszczona sprężyna. Pochylił się w końcu i przechylając głowę, szarpnął ją zębami jak nitkę.

– To? – spytała Mirusia, spoglądając na jajko.

– Zobacz.

– Co?

– Zobacz w środku. – I przerażony własną brawurą dodał: – Jest w środku żywe.

– Aha – odparła. – Po co?

Z perspektywy zabiej wyróżniało się kilka rzędów napiętych mięśni łydek i okrągłych pięt gapiów wychylających się ponad barierką: pięty różowe, w bawełnianych skarpetkach o przybrudzonych spodach, odchylających się ponad pociemniałą od potu podeszwą jasnych sandałów, lub pięty spękane, powleczone luźną pończochą, lub nagie i czerwone, wychylające się tylko nieznacznie z niebieskich, brudnych adidasów. Z perspektywy bożej wyróżniała się jasna plamka z bystrym, żółtym oczkiem.

O prawdopodobnej śmierci polskiego kosmonauty

O tym, że na Księżyc poleciał kosmonauta Pączko, zdecydowało to, że wiecheć na czubku głowy układał mu się w dwa koguty, co wedle wierzeń ludowych oznaczało, że ma dwie dusze, a co za tym idzie – większe szanse na przetrwanie.

– Ci zmarli – spytał dyrektor – gdzie byli? Na ukaefie?

– Proszę?

– Na falach długich czy krótkich?

– Nie wiem – odparł inspektor. – Trzeba znaleźć puste pole.

Na ścianie nad panelem zawieszony był czerwony telefon o okrągłej tarczy. Od czasu do czasu odzywał się dzwonek, połączenie zrywano jednak za każdym razem, ilekroć którykolwiek z nich sięgał po słuchawkę. Tuż nad drzwiami wisiał mały srebrny krzyżyk i godło państwowe, prostokątne i puszyste niby łazienkowy dywanik, lewą zaś ścianę zaklejono błyszczącymi plakatami z rozkładówki „National Geographic”, prezentującymi Układ Słoneczny ze szczególnym uwzględnieniem odległości pomiędzy planetami.

– Za pieniądze z podboju kosmosu – powiedział dyrektor, włączając panel nawigacyjny – kupię Basi kabinę do słuchania płyt. Ucieszy się lala. Basia laska jest.

– Puste pole FM – powiedział inspektor, sprawdzając w zeszycie. – Słyszysz pan? Radio włączyć, poszukać, sprawdzić, gdzie nie gadają. Puste pole FM. Zadać ostrożne pytanie i wtedy, poprzez szumy...

Dyrektor przysunął bliżej radia stary fotel fryzjerski z suszarką hełmową i opuścił ją sobie na głowę, po czym pokręcił czarną gałką przy radiodbiorniku Menuet, wzniesając gęsty szum, chwilami wzbierający niby

wrząca woda.

– Boję się – powiedział – żeśmy go stracili.

– E – odparł tamten, przerzucając strony. – Z kosmosu idzie odpowiedź z opóźnieniem. To zegar źle chodzi.

– Mówiłem, na zegar nie patrzeć – powiedział dyrektor, podnosząc hełm wyżej.

Głowę miał cebulaną, wygoloną starannie, z puklem włosów na czubku.

– *Rynek w Limoges* – powiedział dyrektor. – Ulubione jest Basi. Pan zna tę melodię?

Pochylił się nad panelem nawigacyjnym i pokręcił gałką radia. Równy, przez gęsty szum przedzierał się co chwila głos prezentera. Inspektor przykucnął, wyciągnął z szuflady mały dyktafon i przysunął do radia.

– Nie wiem – powiedział dyrektor. – Nie wiem, co powiedzieć.

– Proszę?

– Nie wiem, od czego zacząć.

– Normalnie – odparł tamten, siadając obok na taborecie. – Jak spotkanie na ulicy.

– Że pogoda jakaś.

– Właśnie.

Dyrektor kiwnął głową, otworzył usta i zaraz zamknął. Przez chwilę wydało się, że szmery wzbierają, uchodząc z radia niby pszczoły z ula. Sięgnął po ołówek i przysunął do siebie gazetkę reklamową, zwiniętą w rulon na panelu do sterowania. Mignęło zdjęcie z ostatniej strony: jasnowłosa dziewczynka obejmowała konar młodego drzewa, „Figowiec bengalski, drzewko tve poobiednie” zachwalano pod spodem. Dyrektor przytrzymał gazetę łokciem i zapisał na reklamie częstotliwość.

– Nie wiem – powiedział. – Bo jak człowiek chce rozmawiać ze zmarłym, to powinien chyba czekać, aż ten coś wpierw sam powie, nie?

– Ja wiem? – odparł tamten. – Nie wiem. Nie znam ich zwyczajów. Trzeba spróbować.

– Co?

– Mówię, trzeba spróbować.

– No nie wiem – powiedział dyrektor. – Poza tym mógł przecież

nakłamać.

– Co?

– No – odparł tamten – w tym liście, co pisał. To się bez przerwy zdarza.

– Ja wiem – powiedział inspektor. – Ja też rekrutowałem. Zmyślają, że doświadczenie.

Pochylił się i wyciągnął jedną z szuflad, a potem ostrożnie przeniósł ją na blat i położył przed sobą. Spod sterty kopert wychylała się cienka świeczka zapachowa w kolorze bordowym i poduszczyka na igły. Pod spodem, na arkuszu bloku technicznego rozrysowano cienkopisem sylwetkę kosmonauty, po bokach zaś dodano dwa ubrania wyjściowe, gotowe do wycięcia i z zakładkami po bokach.

– Kombinezon w kolorze płótna lnianego i puchowa czapka – powiedział inspektor. – Ktoś, kto miał ten pomysł...

– Basia rozpisała – odparł tamten. – Czapka duchna i kombinezon z lekkiego materiału. Basi cały pomysł, Basi wykonanie. Basia laska jest.

Zadzwoił telefon. Dyrektor sięgnął po niego po pierwszym sygnale i przez dłuższy czas bez ruchu nasłuchiwał wyjaśnień obwieszczanych jasnym, wysokim głosem.

– Dobra – powiedział – oczywiście, czekamy. – I dodał: – Stracił łączność z bazą, nikt nie wie naprawdę, kiedy to lądowanie. Ale jak kto nie ląduje w ogóle, to już wszystko jedno, jaki czas się poda.

– Źle pan mówił – powiedział inspektor, gdy tamten odłożył słuchawkę. – My jeszcze nie wiemy. A nuż że zadzwoni?

– My nie wiemy nawet – odparł dyrektor – czy było startowanie. Szybkośmy go stracili. Szybciej niż pozostałych.

– Ja myślę, że by zadzwonił, gdyby coś się stało.

– Albo sam zadzwoni, albo przez radio pogadamy.

Pokręcił znowu gałką, zbliżył ucho do głośnika i zaraz je odsunął.

– Ci, którym się udało... – powiedział, odwracając się do inspektora i obniżając nieco suszarkę hełmową.

– Na Księżyc dolecieć?

– Nie – odparł – porozmawiać z duchami. Pamięta pan kogoś?

– Metoda EVP. Zadać jakieś pytanie i spośród śmiergania...

– No – powiedział dyrektor, podnosząc znów suszarkę. – Sam pan widzisz, nikogo.

Podszedł do mapy kosmosu i przez chwilę wodził po niej palcem, niby coś obliczając. Odległości przedstawiono żółtymi cyframi, ale ktoś pracowicie je poprzekreślał i cienkim mazakiem dopisał pod spodem: „W rzeczywistości inaczej”.

– Według cyfr żeśmy szli pisanych czy drukowanych? – spytał.

– A tak – odparł inspektor – i siak. Jak się dało.

– Dobrze, żeśmy go nie znali.

Szmary, dotychczas jednostajne i płaskie, wezbrały znowu i wydawało się, że przeziera przez nie czyjś niski, rwany głos. Inspektor pokręcił gałką, zmieniając natężenie dźwięku. Rozdzwonił się telefon i szumy ustały.

– Halo? – powiedział, sięgnąwszy po słuchawkę.

Przez chwilę słyhać było tylko różową melodyjkę niby w nakręcanej pozytywce.

– To ja – odparł kosmonauta Pączko.

Szum w radiu znów wezbrał i rozległy się zakłócenia: długie, rytmiczne dźwięki niby ścięgi wychodzące spod maszyny do szycia.

– Czy jest tam może moja jadwiszka? – zapytał czyjś głos pośród szmerów.

– Nareszcie – powiedział inspektor, przyciskając słuchawkę do ucha.

Dał dyrektorowi znak głową i przysunął dyktafon do radia.

– To on – powiedział inspektor. – Nawet się przedstawił.

I z uniesionym palcem wskazującym nasłuchiwał. To trwało chwilę, kosmonauta milczał, a na linię wróciła wesoła melodyjka.

– To był on – powtórzył inspektor – kosmonauta Pączko.

Szum w radiodbiorniku znów zgęstniał gwałtownie; błysnęły lampki przycisków *play* i *replay*.

– To ja – odezwał się ktoś w radiu. – Kiedyż – spytał, głos miał stłumiony i dziwnie wydłużony, rozchodzący się po pokoju niby rtęć – kiedyż we trójkę znowu się spotkamy?

Dyrektor uniósł suszarkę hełmową i przybliżył ucho do odbiornika, przechylając głowę niby nasłuchujące zwierzę.

– Chyba żyje raczej – odezwał się inspektor, podkreślając głośność. – Trzeba było go spytać, czy dotarł.

– Dotarł – odparł tamten. – Miał zadzwonić, jak dotrze, i dzwonił właśnie. Niech się pan nie przejmuj, ten człowiek miał dwie dusze.

– Ja teraz nie wiem, czy dzwonił na telefon, czy te szumy radiowe...

– Niech się pan nie martwi. Powiedział: jak dotrę, zadzwonię.

– To dobrze.

Przez chwilę milczeli. Dyrektor sięgnął po pudełko ciastek z makiem i krótkim, nagłym uderzeniem palca przedziurawił przezroczystą folię.

– A wie pan – powiedział inspektor – tak strasznie się bałem. Przeliczyliśmy wszystko raz jeszcze, sukno nam wyszło niemrawe.

– Co?

– Mało jędrna tkanina.

Dyrektor wzruszył ramionami, ręce splótł na piersiach.

– Są ciasteczka makowe – powiedział.

– To dobrze.

– No – odparł dyrektor – niechże pan powie. Przecież ja to widzę.

– Co?

– Że nie tak coś.

Inspektor się skrzywił.

– W głowie mi się nie mieści – powiedział – żeśmy go tak posłali. No, bo cośmy mu dali? Nocną czapkę z puchu i kombinezon w kolorze lnianego płótna, to wszystko.

– I telefon – powiedział – i piecyk gazowy. I pompkę z powietrzem.

– I wszystko.

– No, no – odparł dyrektor, czerwieniejąc na twarzy. – Niechże pan zapamięta: nie wolno się z nimi bratać. Ledwo pan z człowiekiem pogadał, głos usłyszał, już pan uwierzył, że gdzieś tam on istnieje, i już panu szkoda. Trzeba poprzestawać na listach. Trochę człowieka papier zawsze przytrzyma: nie zna się chociaż głosu, w oczy nie trzeba patrzeć, zawsze to pomaga. Pan chce?

– Ale co?

– No jak to? – powiedział dyrektor, podchodząc do panelu sterowania.

Poruszył kolejno każdą gałką, ekran pozostał czarny.

– Rozwoju polskiej myśli technicznej czy pan chce?

– No – odparł tamten – a jak się panu zdaje?

Urwał na moment, podniósł wzrok i dodał:

– Ale miał przecież dzieci.

– No – odparł tamten. – Jeśli znów nas nie oszukał.

– Nic dzieciom nie zastąpi ojca.

– Nic dzieciom nie zastąpi masła, panie inspektorze – powiedział dyrektor, sięgając po pudełko ciastek. – Basia jest laska, wie pan? Baśka rysuje i kroi. Stroje polskich kosmonautów, wszystko ona. Człowiek wraca do domu, wszędzie kropa i nici. Dobre życie mam. Laska jest.

Przez chwilę siedzieli w ciszy, pojadając. Inspektor co rusz pochylał się nad panelem sterowania i przekręcał gałki radia, to obniżając głos, to znów go wzmacniając.

– Basia jest laska – powtórzył dyrektor, oblizując palce.

Sięgnął w kierunku zielonego plastikowego jeża stojącego na krawędzi panelu. Między kolce wetknięto mu długopisy i ołówki, a także małe zdjęcie rodzinne, przedstawiające wysoką, postawną kobietę z dwójką dzieci. Jedno miało czerwony, okrągły czubek nosa, drugie trzymało w rączce szpulę czarnego kordonka.

– Jeżeli nie wróci – powiedział inspektor – ktoś kiedyś zapyta.

– Kiedyś zapyta, to się kiedyś odpowie.

Szum w radiu znów wezbrał, rozległy się dźwięki *Rynku w Limoges*, po chwili ktoś spytał wydłużonym, stłumionym głosem:

– Czy jest gdzie moja jadwiszka?

– Co mówi? – spytał inspektor. – Kogoś woła.

– Nie – odparł dyrektor. – Jadwiszka, poduszka na igły taka.

Inspektor poderwał się z taboretu, by znów podgłośnić, szum jednak ustał i nastała cisza. Sięgnął po ciasteczko, a potem mlaskliwie i z upodobaniem oblizał wszystkie palce. Podszedł do mapy kosmosu i wyciągniętym z wewnętrznej kieszeni marynarki mazakiem dopisał: „Policzyć naprawdę”.

– Człowiek zbliża się do rozwiązania ważnej tajemnicy – powiedział.

Dyrektor roześmiał się krótko z pełnymi ustami. Inspektor zebrał swoje

rzeczy do torby, kiwnął głową i wyszedł, zamykając za sobą cicho drzwi. Na krętych schodach wieży planetarium minął się jeszcze z zapłakany m mężczyzną ubranym na czarno, prowadzącym za ręce dwoje zapłakanych dzieci: jedno z czerwonym, okrągłym nosem i drugie trzymające czarną szpulę kordonka.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.

www.czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice

tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75

e-mail: mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl,
dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl, edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

tel. +48 18 351 00 70

e-mail: redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Hoża 42/1, 00-516 Warszawa

tel./fax +48 22 621 10 48

e-mail: agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl,
zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl

Dział marketingu: honorata@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl,

agnieszka.wilczak@czarne.com.pl, urszula@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl

ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków, tel. +48 12 432 08 52

e-mail: info@d2d.pl

Wołowiec 2015

Wydanie I